

elbow

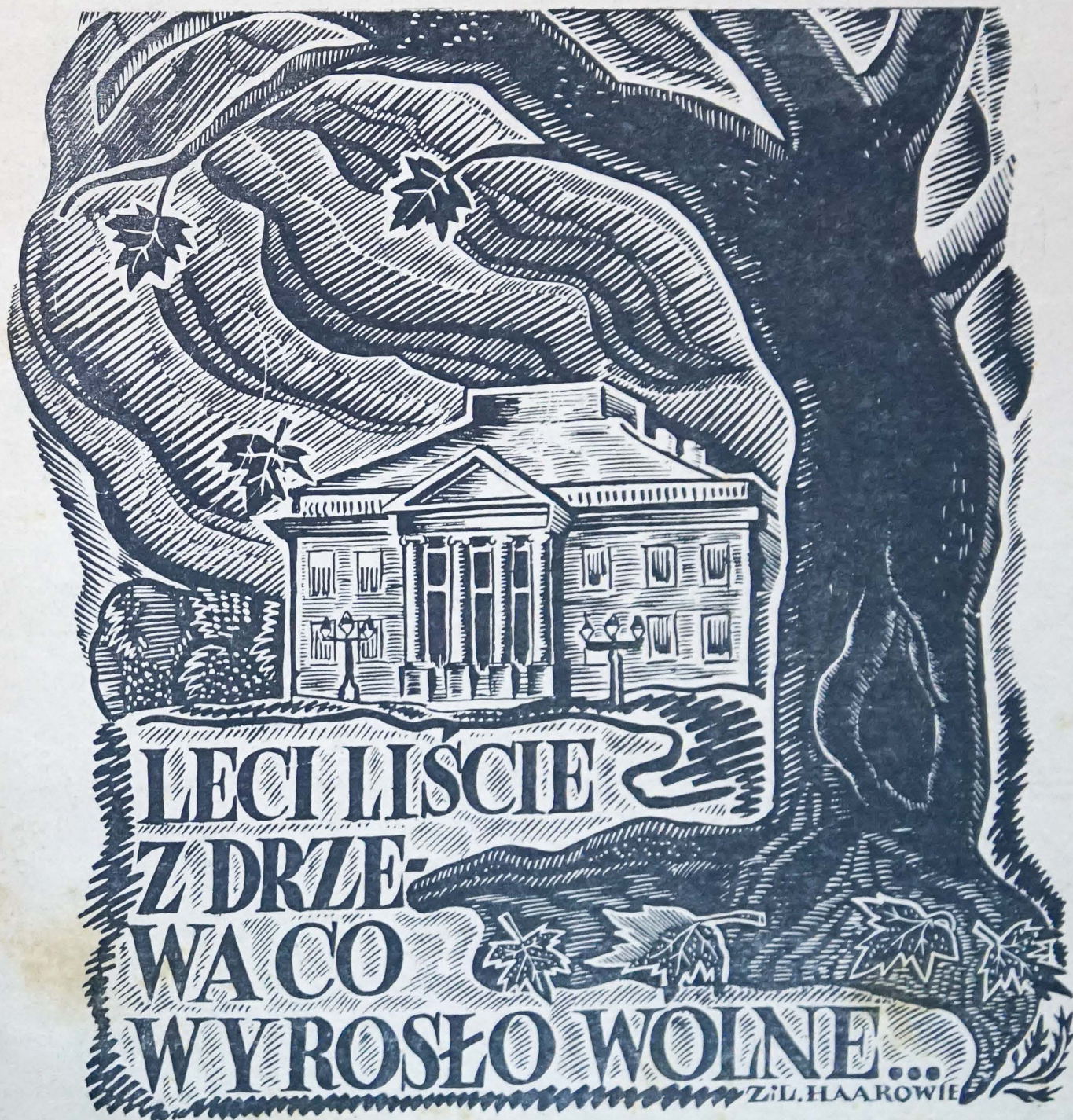
Chotnicka

P I S M O P. S. K.

Rok II

Listopad, 1944 r.

Nr 14





Plac Zamkowy, po bombardowaniu Warszawy we wrześniu 1939 r.
Podczas walk w 1944 r. Kolumna Zygmunta została zgruchotana przez bomby niemieckie



29 listopada, 1830 r. — Plac zamkowy w Warszawie w chwili wybuchu powstania

TREŚĆ NUMERU

- | | | | |
|---|------------------------|--|----------------|
| 1. Historia uczy | A. R. | 12. Wiersze Maryli Wolskiej:
„Wiem“, „Stary Sad“,
„Pożegnanie“, „Kora“ | |
| 2. Listopad | Józef Bujnowski | 13. Oczami artysty | On |
| 3. Emilia Plater | Hanna Mirecka | 14. „Centrala — wstęp
wzbroniony“ | Anna Szyborska |
| 4. 11 Listopada 1918 r. | Stanisław Janikowski | 15. Radiotelegrafistka | Józef Żywina |
| 5. Krew i nafta | Jarosław Żaba | 16. Piękna działalność | I. F. |
| 6. Zaduszki | I. M. Bocheński, O. P. | 17. W cieniu walczących żoł-
nierzy | Stworzeń |
| 7. Opowieść o Cichowskim | Adam Mickiewicz | 18. Za kulisami | I. I. |
| 8. Tym, którzy polegli na
włoskiej ziemi | B. W. | 19. Listy do Redakcji | |
| 9. Prośba | Ryszard Kiersnowski | 20. Kronika | |
| 10. Żołnierz bez munduru | M. T. | | |
| 11. Wojenne szczęście | N. Sądek | | |

WŁOCHY, 1944 r.

„Ochotniczka“ ukazuje się raz w miesiącu

Wydawca: Oddział Kultury i Prasy 2 Korpusu
Redaktorka Naczelna: dr. Herminia Naglerowa
Adres redakcji i administracji: Polforces CMF 58

„Ochotniczkę“ nabywać można w Referatach Kultury
i Prasy 2 Korpusu w Oddziałach P.S.K., w Kantynach
polowych, oraz Świetlicach

Cena 20 lirów

Wydano w Ciężkiej Drukarni Polowej A. P. W.

HISTORIA UCZY

Listopad jest miesiącem dwóch wielkich rocznic w naszej historii, rocznic obchodzonych uroczyście, które pamiętamy wszyscy od lat dzieciństwa. Jedną z nich przypominała nam wielkie wydarzenie okresu niewoli, które zakończyło się klęską — Powstanie Listopadowe. Drugie było rocznicą tryumfu i zwycięstwa, odzyskania niepodległości po stu kilkudziesięciu latach rozbiorów — Święto Niepodległości w dniu jedenastego listopada.

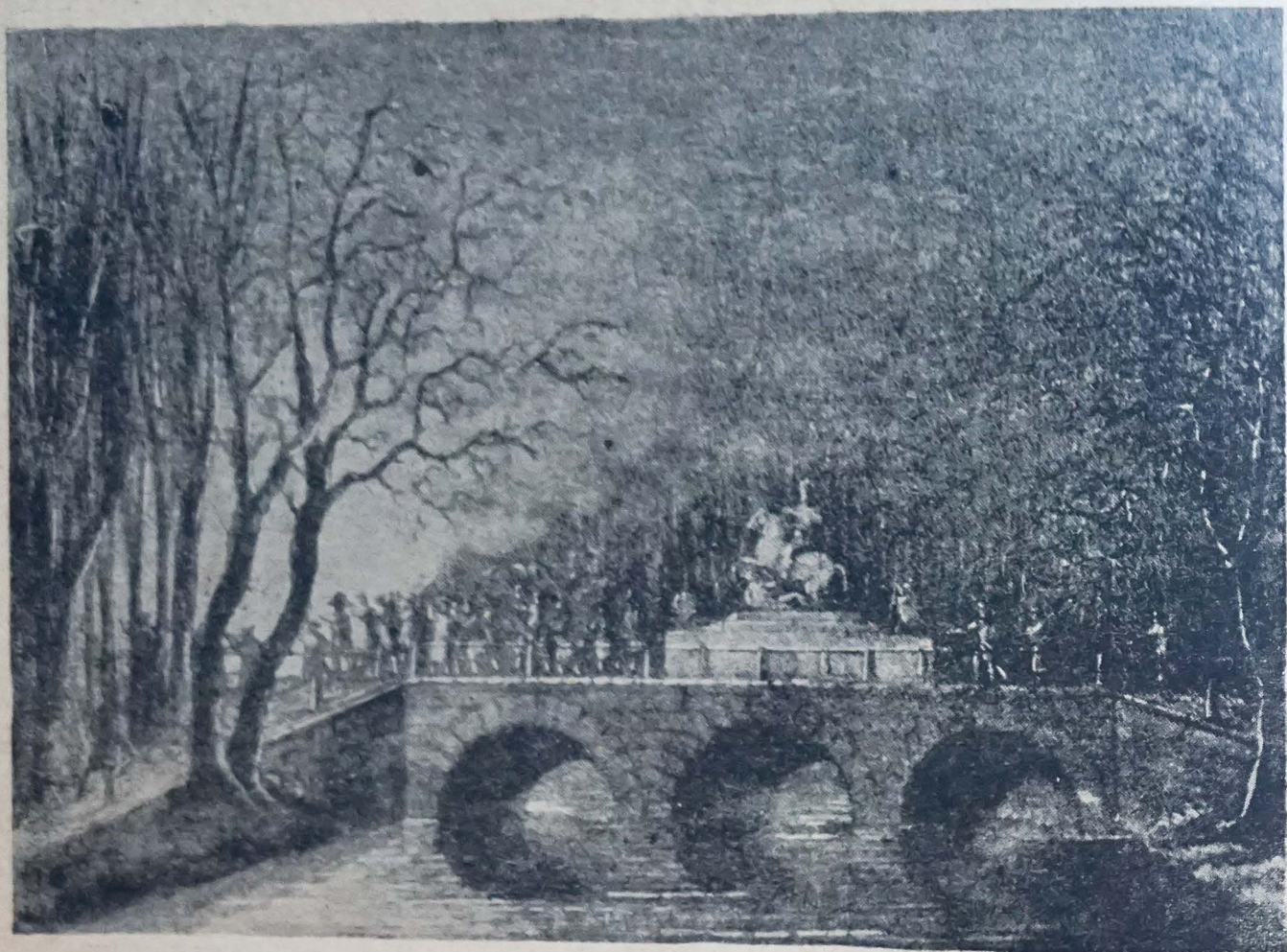
Powstanie listopadowe wybuchło dnia 29-go tego miesiąca w roku 1830, w 15 lat po Kongresie Wiedeńskim, który związał większą część obszaru dawnej Rzeczypospolitej z rosyjskim imperium carów. Związek ten według postanowień traktatu miał być unią personalną, car wszechrosji, wówczas Aleksander I, został zarazem królem Polski, a część Polski włączona do państwa carów miała się rozwijać niezależnie i samodzielnie w oparciu o własne ustawy i z własnym sejmem. Car Aleksander kokietował wówczas Europę swoim daleko posuniętym liberalizmem i odgrywał rolę oswobodziciela narodów europejskich od tyranii Napoleona. Rosyjska przestrożka i mróz, które pokonały cesarza Francuzów, następnie rosyjskie armie, które zalały Europę i znalazły się na ulicach Paryża, odegrały tak dużą rolę w rozgromieniu Francji, że głos Moskwy na kongresie pokojowym nie znalazł dostatecznego

odporu ze strony mocarstw europejskich. Metternichowska zasada legitymizmu, na której zbudowano organizację Europy po wojnach napoleońskich, znalazła jeden wielki wyjątek: nie odbudowano państwa polskiego, dawnej Rzeczypospolitej. Pewne wysiłki czynione w tym kierunku przez Talleyranda w imieniu Francji i Castlereigha w imieniu rządu angielskiego pozostały bezowocne. Adam Czartoryski, minister i najbliższy przyjaciel w młodości Aleksandra I, zwolennik porozumienia polsko-rosyjskiego przeżył największe rozczarowanie swojego życia.

Aneksja lwiej części obszaru Rzeczypospolitej nie została jednak wówczas dokonana po prostu i nie nazywała się aneksją: stworzono Królestwo Polskie z carem, jako królem, i z namiestnikiem cesarskim w Warszawie, którym został cesarski brat, odsunięty od tronu z powodu braku odpowiednich kwalifikacji umysłowych, Wielki Książę Konstanty. Kraj i naród, który od stuleci rozwijał się na podstawach cywilizacji zachodniej i korzystał z najdalej, na ówczesne, stosunki, posuniętych wolności politycznych i indywidualnych, został w ten sposób połączony w jedną całość ze wschodnią despotacją caratu. Mniej lub bardziej szczerze koncert mocarstw europejskich przyjął, że takie połączenie może stać się podstawą harmonijnego współdziałania dwu odrębnych kultur i odrębnych światów pojęć oraz, że Mo-

skwa uszanuje polską indywidualność narodową. W społeczeństwie polskim powstały również pewne prądy porozumienia i zaufania do pomyślności tego rodzaju układu politycznego. Bardzo rychło jednak wszystkie takie nadzieje zostały rozwiane. Po nie zdecydowanym i chwiejnym Aleksandrze, zasiadł na tronie moskiewskim młodszy jego brat Mikołaj I, najwierniejszy wyraziciel państwowego ducha rosyjskiego, ciasny despot i tyran, który w ciągu swego długiego panowania zdobył zasłużone miano „żandarma Europy“ — żandarma, pilnującego, by narody nie odzyskały wolności.

Powstanie Listopadowe było naturalną i konieczną konsekwencją próby przymusowego połączenia dwóch odrębnych narodów i zarazem odrębnych cywilizacji, odrębnych kultur: polskiej, czyli zachodniej i europejskiej — z rosyjską, czyli wschodnią i eurazjatycką. Próba taka nie mogła się powieść. Powstanie upadło, ponieważ siły militarne Rosji były przeważające i ponieważ ruchy wolnościowe narodów europejskich były jeszcze zbyt słabe w stosunku do rządzącego Europą reakcyjnego zespołu mocarstw Świętego Przymierza. Powstanie jednakże było ważnym etapem w walce o wolność nie tylko Polski, ale całej Europy. I dlatego, wywoławszy oddźwięk żywej sympatii wśród wszystkich demokratycznych kierunków europejskich i



29 listopada 1830 r. — Spiskowcy pod pomnikiem Sobieskiego w Warszawie

uomocniejszy ich dążenia we wszystkich krajach, stało się również dla naszego narodu wspomnieniem wielkim i niezatartym, przedmiotem czci następnych pokoleń i niewyczerpanym źródłem siły do dalszej walki o wolność. Pamięć o Powstaniu Listopadowym jest wśród nas dotąd żywa i musi być dla nas, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, nauką i drogowskazem na przyszłość.

Druga rocznica listopadowa przypada na dzień 11-go. Dzień ten został wybrany jako rocznica oswobodzenia Warszawy w roku 1918, kiedy Marszałek Józef Piłsudski, wypuszczony wraz ze swoim szefem Sztabu Kazimierzem Sosnkowskim z twierdzy magdeburgskiej po klęsce niemieckiej, wrócił do Warszawy i po rozbrojeniu Niemców objął naczelną władzę w stolicy Polski. Odzyskanie wolności nie dokonało się wówczas tego samego dnia na całym obszarze Rzeczypospolitej i poszczególne miasta, poszczególne dzielnice wywalczały ją dla siebie w terminach niezupełnie tych samych, ale dzień jedenastego listopada jako dzień wyzwolenia stolicy stał się symbolem dla całej Polski — świętem niepodległości.

Niepodległość odzyskana przez Polskę w roku 1918 była niepodległością rzeczywistą i prawdziwą. Polska powstała

w wyniku wojny światowej, w której rozgromione zostały wszystkie trzy mocarstwa zaborcze, a ostateczne ustalenie granic, mianowicie granicy wschodniej dokonane zostały przez własne siły odtworzonej, samodzielnej i niezależnej Armii Polskiej.

Druga wojna światowa, którą przeżywamy obecnie, nie wróży w tej chwili równie pomyślnego dla nas zakończenia. Nad przyszłością Polski zawisły ciężkie, groźne chmury. Ale przecież cele wojny, sformułowane jedyny raz w ciągu jej trwania i przyjęte przez wszystkie mocarstwa koalicji antyniemieckiej, są zawarte w Karcie Atlantycznej, która głosi zasadę wolności narodów i nienaruszalność ich przedwojennych granic, a ludziom obiecuje bezpieczeństwo i wolność osobistą. Zasada wolności jest więc wciąż naczelnym i przez wszystkich oficjalnie uznanym celem wojny, przeciw któremu nikt jeszcze dotąd otwarcie nie ośmielił się wystąpić. Jednakże jest rzeczą wiadomą, że istnieją konkretne plany i projekty niezgodne z zasadami Karty Atlantycznej i wiadomo, że godzą one przede wszystkim w naszą przyszłość. Są to często projekty, które chciałyby przynieść Polsce wolność pozorną, podobną do tej wolności, jaką dał Polsce Traktat Wiedeński i t.zw. polskie

Królestwo Kongresowe. Przeciw takim projektom wolności pozornej ostrzeżenie nas najwymowniej historia tego okresu, który zakończył się wybuchem Powstania Listopadowego i o tym doświadczeniu nie wolno nam zapominać zwłaszcza w obecnym okresie życia narodowego.

Powstanie Listopadowe było wiecznie pamiętnym i wiecznie żywotnym buntem przeciwko łączeniu tego, co nie może być połączone, przeciwko wiązaniu ze sobą dwu odrębnych światów, które były i pozostaną zawsze obce sobie, jak zło i dobro, wolność i niewola, twórcza myśl i knut ciemniejszy.

A. R.

Na okładce „Ochotniczki” — rysunek L. i Z. Haarów, wykonany specjalnie dla naszego pisma, jako ilustracja do znanej pieśni ludowo-powstańczej, zaczynającej się od słów: „Leci liście z drzewa, co wyrosło wolne”. W głębi rysunku widać pałac Belwederski w Warszawie, którego historia związana jest z wybuchem Powstania Listopadowego 1830 r. W okresie Polski Odrodzonej pałac Belwederski był rezydencją Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Józef Piłsudski („Pisma“)

Ludzkość jest tak urządzona, że pod budowlę Wolności kładzie życie ludzkie i bierze krew ludzką, która jest najlepszym tej budowlę spoidłem... Żle byłoby, gdyby Polska wznosząc budowlę swego nieśmiertelnego bytu, zawahała się poświęcić życia ludzkiego i gdybyśmy jej swojej krwi poskąpili... Bo życie ludzkie w wir walki porwane i walczące do sił ostatka, jest świadectwem wartości każdego narodu i jego wojska...

Józef Piłsudski („Pisma“)

LISTOPAD

Co jesieni w pieśni splatał gibkie gałęzie,
rozsypany zadumę i radość w nitkach pajęczyn —
i szedł roześmiany pieśnią
z orędziem
chorowodu chłopców i dziewczyn.

— O, kwitnij w niwach szerokich, w łąkach, lasach i
pijana szczęściem, odzyskana radości trwania! [sadach,
O, śpiewaj dni odeszłe w balladę,
o, pobłogosław ciszę żytozbrania!
Plastrami miodów, o, słodka, zastaw domowe stoły,
w bieli obrusów i kolend najcichsze daj nam wigilje,
niech przy gościńcach porosną nietknięte stopą zioła,
po wioskach niechaj w ogródkach rozkwitną georginie!

Szedł listopad przez kraj,
georginie kwitły w opłotach,
dojrzewał wicher,
aż z liśćmi chorągwi opadł
rdzawolisty
rozwiany
listopad.

Rozkochali się chłopcy w białych nocach,
rozkochały się dziewczęta w śpiewie kolend —
w miłowaniu nie zaznać przemocy —
wyruszyli zatem chłopcy w krwawe pole,
a dziewczęta patrzyły na gościńce,
kiedy srebrem kołysały się bagnety
i śpiewały — w kochaniu nie przemieńcie —
georginie zrywały na bukiety.
Wychodziły przed opłoty we łzach matki,

ojcom drżały w pożegnaniu zwarte ręce,
w próg schodziły się kумы i sąsiadki,
o żołnierzu było w każdej piosence.

Wicher i płomień był w liściach —
rdza i purpura krwawiły się u nóg,
a przez bruk
przeleciał wicher-galop
i opadł —
więc czekają przez długie długie lata
dziewczęta w żalu
na swoich chłopców przyjście —
czekają
na listopad.

Idą chłopcy przez pola, krwawe pola,
idą deptać liście innych topoli,
czasem który w kochaniu się zapatrzy,
więc przyniosą go inni chłopcy na tarczy —
przysypany tymczasem srebrem łopat
będzie czekał na złoty nasz listopad —
będzie czekał, aż weźmie ktoś na ręce
lub zaniesie na ustach w piosenkę...

Wtedy
już co jesieni
w pieśni splecie listopad gałęzie
i rozsypie zadumę i radość w nitkach pajęczyn —
i pójdzie roześmiany pieśnią
z orędziem
chorowodu chłopców i dziewczyn.

Józef Bujnowski

EMILIA PLATER

Powstanie Listopadowe obfituje w nazwiska wodzów wojska regularnego i dowódców oddziałów powstańczych. Wśród nich nazwisko kobiety: EMILII PLATER. Są wprawdzie i inne kobiety, które w tym powstaniu biorą udział — Emilia Szczaniecka, Antonina Tomaszewska, Klaudyna Połocka, Maria Molówna, Anna Prószynka, Maria Raszanowicz, wierna towarzyszą Platerówny, aby wymienić najbardziej znane — ale najwybitniejszą postacią jest Emilia Platerówna.

Urodziła się 13 listopada 1806 roku. Jakby los chciał związać miesiąc jej urodzin z czynem jej krótkiego życia. Matka jej, hrabianka Anna de Motel z domu, po krótkim, nieszczęśliwym małżeństwie z hr. Ksawerem Platerem, opuszcza męża, aby zamieszkać w zacisku wsi swojej kuzynki — w Likśnie, w Inflantach. Tu oddaje się całkowicie wychowaniu córki, dziewięcioletniej podówczas Emilii.

Na wrażliwej i poważnej dziewczynce zaważyły mocno rodzinne przejścia. Stroni od zabaw dziecięcych, tak samo jak później jako dorastająca panna unika rozrywków światowych i pustego życia towarzyskiego. Za to z pasją poświęca się studjowaniu ulubionych przedmiotów — matematyki, historii i... strategii. Wzorem do naśladowania jest dla Emilii — Joanna D'Arc. Ale czasy cudów i objawień minęły. Trzeba mieć przygotowanie na bohaterkę. Emilia ćwiczy się więc z szermierce, w strzelaniu, w konnej jeździe. Ani upał, ani mróz, ani ślota i śnieżyce nie są przeszkodą dla dłu-

gich, codziennych marszów. Wprawia się w znoszeniu trudów, w przewycięzaniu wężłego organizmu. Jej odwaga graniczy z szaleństwem, a szybkość decyzji i wola nadają jej ślicznej dziewczęcej twarzy wyraz fascynujący.

Do swojej przyszłej roli czynnego powstańca przygotowywała się więc Emilia Plater poważnie. Majątek Liksna był nie daleko Dyneburga, gdzie w twierdzy stała załoga rosyjskiego wojska i gdzie istniała Szkoła Podchorążych. Wokół tej twierdzy właśnie krążyły plany Platerówny, zanim jeszcze wybuchło powstanie. Zdobycie Dyneburga — znaczyło przecież uwolnienie Inflant od Rosjan.

Więści o przygotowaniach w Królestwie przedostawały się przez emisariuszy do Litwy i Ziemi zabranych. Były na razie niepewne, ale wznęcały nadzieje. Emilia w Likśnie ma swoich zwolenników wśród służby i mieszkańców wsi. Wie, na kogo i na co może liczyć, gdy moment nadejdzie. Tymczasem jednak uderza w nią osobisty cios. Umiera jej matka w r. 1830. Bardziej jeszcze osamotniona, bardziej smutna, ale też bardziej zdecydowana, Emilia czeka i nasłuchuje wieści. Pociemniałe oczy przebijają jesienne mgły, a twarz jest coraz bledsza od nurtujących nienokojów.

Wreszcie nadechodzi pewna wiadomość, że w Warszawie skrzyknęto się hasłem: „Do broni!”. Platerówna, nie zlekakając, rozpoczyna działanie. Zbiegają się do niej ludzie gotowi pójść pod jej rozkaz. „Pułkownik” Platerówna szkoli powstańców w lasach. Na Litwie ruch już się zaczął i Platerówna udaje się do

Wilna, żeby przedstawić swój plan zdobycia Dyneburgskiej fortecy. Któżby jednak dopuścił młodzieńką pannę przed oblicze powstańczych strategów? Z niczym trzeba wrócić do Liksny, aby w dalszym ciągu organizować swój oddział, aby słać zaufanych na wszystkie strony celem wywołania ruchawki w Inflantach i na Żmudzi.

Nie zaniechała też planu zajęcia Dyneburga. Usiłuje przeprowadzić zamiar na własną rękę. W tym celu porozumiewa się z kuzynami, uczniami szkoły Podchorążych w Dyneburgu. Ci przyjmują plan z entuzjazmem. To, co mogli zrobić podchorążowie Warszawy jest i tu do wykonania. Skoro przyjdzie uderzenie na Dyneburg z zewnątrz, pomoc dadzą podchorążowie z wewnątrz twierdzy.

W marcu 1831 roku powstanie w Inflantach stało się rzeczywistością. Platerówna przywdziewa meski strój, przypasuje szablę, pistolet wkłada za pas. Jasne włosy obcięte są krótko, ale promienie wymykają się spod czapki. Jest śliczna, młodzieńcza, zapalona i rozważna jednocześnie. Jej imię jest powtarzane z zachwytem i z... odrazą.

W niedzielny dzień w Dusiatkach wzywa Emilia zebrany przed kościołem i na rynku tłum do chwycenia za broń. Pod wieczór ma już pod swoimi rozkazami 2000 strzelców, kilkuset kosynierów i kilkudziesięciu ułanów. Następnego dnia na czele swojego oddziału stacza bitwę pod Dowgielami i kieruje marsz ku Dyneburgowi, tocząc po drodze bitwy ze zmiennym szczęściem. Więc znowu za-

haterstwem Warszawy — obroną Woli, Redutą Orдона.

Kapitan Platerówna jest w załodze Kowna. Było to usunięciem jej z placu boju. Przyjęła tę krzywdę bez szemrania. Wymagała zawsze dyscypliny i posłuchu od swoich żołnierzy, więc i sama dać musiała przykład. Kowno, nie poparte dostatecznie, kapituluje. Krok za krokiem, ustępując dopiero po zaciętych walkach, przedziera się Platerówna przez wojska rosyjskie do Rosień, gdzie stał gen. Giełgud. Tu znowu otrzymuje Platerówna podrzędną funkcję eskortowania furgonów.

Wodzowie — Giełgud, Chłapowski — skłóceni. Wojsko coraz głośniej powtarza złe, destrukcyjne słowo: „zdrada!” Bo Giełgud i Chłapowski maszerują — co prawda walcząc po drodze — ku granicy pruskiej. Giełgud ginie tu od polskiej kuli. I podczas, gdy jedni przechodzą granicę, inni cofają się z powrotem, aby na litewskiej i żmudzkiej ziemi walczyć a niechby i zginąć ze słowami na mrących ustach: „Dabar Lenkay na prapule! (Jeszcze Polska nie zginęła), inni wreszcie idą za wezwaniem: „Do Warszawy!”

Platerówna z Raszanowiczówną i Cezarym Platerem wybierają drogę do Warszawy. Dziesięć dni trwa już ta wędrówka przez kraj zalany żołądactwem rosyjskim. Emilia trawiona gorączką, z ranami na stopach, głodna, spragniona — wlecze się ostatkiem sił. Wreszcie pada zemdlona. Raszanowiczówna i Cezary wnoszą ją do leśniczówki. Odzyskawszy przytomność, zaklina ich, żeby ją zostawili i tak przecież nie długo skofczy, a oni będą jeszcze użyteczni dla sprawy.

Nie spełniają jednak jej życzeń. Cezary idzie do właściciela majątku, prosząc go o gościnę i opiekę dla Emilii. Pod przybranym nazwiskiem Karawin-skiej, Emilia przebywa w Justianowie. Jest chora: dzień i noc czuwa przy niej Raszanowiczówna. Starannie ukrywają przed nią wiadomości o tragicznym losie powstania. Ale wiadomość dociera do Emilii, mimo wszystko. Brzmi ona: „Dnia 23 grudnia padła Warszawa”.

Ostatnim wysiłkiem drżących, wychudłych rąk Platerówna podnosi szablę do góry, wysoko. Bez słów. Serce jej przestaje bić. Skonała z tym symbolem walki w rękę. Może chciała powiedzieć, że tylko tak zdobywa się wolność: walcząc ciągle...

Długo krążyły o Emilii Plater legendy. Mówiono, że zginęła na polu bitwy, że umarła z ran w leśniczówce. Tak uwiecznił ją Mickiewicz w wierszu. Jeżeli jednak prawda historyczna rozwiła legendy, nie zmieniła przecież tego, że Emilia Plater nie przeżyła upadku Warszawy i upadku powstania.

Na ementarzu w Kopciowie złożono ją na wieczny odpoczynek. Dano jej do trumny pałasz, na głowę włożono krakuskie, aby stała przed Bogiem jako żołnierz tego Kraju, który bije się o wolność nawet wątlymi rękami kobiet.

Hanna Mirecka

11 LISTOPADA 1918 r.

Listopad 1918 roku. Władza zaborców i okupantów rozpadła się. W poszczególnych ośrodkach polskich kielkowało samodzielne życie — gdzie niegdzie nieudolnie, czasem lekliwie, w oparciu o jakieś akty państw zaborczych, czy to o proklamację austriacko-niemiecką z d. 5 listopada 1916 r., na której podstawie powstała w Warszawie Rada Regencyjna, czy to o patent cesarza Karola, na którym się opierała Komisja Likwidacyjna w Krakowie, złożona z przedstawicieli wszystkich stron. W zaborze pruskim panowali jeszcze Niemcy; Poznań wyzwolił się dopiero w czasie świąt Bożego Narodzenia, po przybyciu Ignacego Paderewskiego. We Lwowie w pierwszych dniach listopada, rozgorzały walki z Ukraińcami. Walczyły dzieci; nowe życie polskie powstawało z chaosu — pod znakiem bohaterstwa. O ziemię zabrane, o Wilno, Polesie i Wołyń mieliśmy toczyć jeszcze długie boje.

W Lublinie, pod okupacją austriacką, załamanie się wroga nastąpiło wcześniej, niż pod okupacją niemiecką. Rząd lubelski był pierwszą próbą utworzenia samodzielnej władzy polskiej. Premierem był wytrawny wódz socjalistów galicyjskich, Ignacy Daszyński; rząd składał się z lewicy niepodległościowej. Nie wszystkie teki zdołano odpowiednio obsadzić pod względem fachowym. Przewodniczącym był Wincenty Witosem na czele, usunęli się od współdziałania. W Lublinie był obecny dowódca POW, pułkownik Rydz-Śmigły. Po pewnym wahaniu, podporządkowały mu się oddziały Polskich Sił Zbrojnych (Polnische Wehrmacht), podległe Radzie Regencyjnej, które znalazły się w pobliżu Lublina. Na prowincji, m.in. na Chełmszczyźnie, P.O.W. rozbrajała Austriaków. W Lublinie pełno było strzelaniny w powietrze. Mżył deszcz; na ulicach można było widzieć patrolujących Peowiaków w cywilnych ubraniach, czasem nawet pod parasolami; nie zawsze byli to młokosi.

Polityce polskiej, a przede wszystkim polskiemu wojsku brakowało ośrodka krystalizującego. Komitet Narodowy, z Romanem Dmowskim na czele, urzędował w Paryżu, zajęty akcją dyplomatyczną. Do Kraju się nie przenosił — i zresztą Kraju opanować nie byłby zdolny. Przez wiec polską, przez miejskie środowiska robotnicze szedł wiew wolności, a równocześnie podmuch radykalizmu. Masy polskie chciały wyzwolenia zarówno politycznego, jak społeczno-gospodarczego. W Lublinie, poza ścisłym środowiskiem Rządu Lubelskiego, powstał projekt ujednostajnienia akcji polskiej. Do Krakowa, siedziby Komisji Likwidacyjnej, miały się przenieść zarówno Rząd Lubelski, jak i Rada Regencyjna; po scałkowaniu tych trzech czynników, powstałby Rząd, który by podjął wyzwolenie okupacji i zaboru niemieckiego.

Projekt ten uzyskał aprobatę Daszyńskiego. Ani do Krakowa, ani do Warszawy nie dotarł jednak, gdyż wypadki potrzebę jego przekreśliły.

Człowiek, który skupiał w sobie polskie dążenia niepodległościowe, Józef Piłsudski, był w Magdeburgu. Zaprowadziła go tam właśnie logika niepodległościowej myśli: walczył z Rosją, gdyż posiadała te ziemie polskie, bez których nie można było budować państwa. Gdy zawiadnili nimi Niemcy, oni się stali głównym wrogiem niepodległości. Myśleli oni równie logicznie, jak Piłsudski, w konsekwencji — aresztowali go i wywieźli, wraz z szefem Sztabu Kazimierzem Sosnkowskim.

O swoim pobycie w Magdeburgu i o przyjeździe do Warszawy mówił później Piłsudski: *)

„Jak państwu wiadomo, z końcem roku 1918 znajdowałem się w mieście Magdeburgu, w cytadeli. Byłem od polskiego życia rozmyślnie najzupełniej izolowany. Życie polskie biegło hen, gdzieś daleko, nie dając mi żadnych danych o sobie. Izolacja ta była doprowadzona do tego stopnia, że do mnie wiadomości o świecie zewnętrznym dochodziły jedynie z gazety codziennej, wychodzącej w Magdeburgu — „Magdeburgerzeitung”. Z niej tylko mogłem czerpać dane i wiadomości o mojej ojczyźnie. Z tych danych, względnie ubogich, przed przy-

(*) Obrona Lwowa (7. sierpnia 1923).



jazdem 11 listopada do Warszawy, zostało mi w pamięci jako drogowskazy, jako dane, z którymi do Polski jechałem, kilka zaledwie dziwnych rzeczy. Pierwszą wiadomością był wetknięty mi w ręce na parę tygodni przed uwolnieniem, czy to przez sympatię, czy to przez złośliwość podoficera, tygodnik niemiecki, w którym znalazłem ku memu wielkiemu zdziwieniu mój portret z podpisem: „minister spraw wojskowych Polski”. Z krótkiej przy tym notatki widziałem, że chodzi o jakiś gabinet Świeżyńskiego, o którym pierwszy raz słyszałem, że mógł istnieć w Polsce. Byłem w nim jakoby ministrem spraw wojskowych, który siedział w Magdeburgu. Pamiętam, jak śmieliśmy się z moim kolegą w więzieniu, generałem Sosnkowskim, jak kpiliśmy, jako z symbolu Polski, iż minister spraw wojskowych tego kraju jest nie gdzieindziej, jak w więzieniu.

„Drugi fakt, który doszedł do moich uszu, dotyczył tak zwanego zaboru austriackiego. Mianowicie — w piśmie, napadającym ustawicznie na słabość sojusznika, na Austrię, był patent cesarza Karola, nadający nagle wielkie prawa ludności i rzucający do „swoich wiernych krajów i narodów” wezwanie, by same się zajęły swoim losem... Pomiędzy tymi narodami byli też i Polacy. Bodaj że jeszcze kilka drobnych faktów doszło do mnie, z których mogłem sobie wyrobić obraz o Polsce, a który został mi w głowie, gdy m pośpieszonym po-



pada się w lasy, znowu usprawnia swój oddział, grzebie poległych, zdobywa broń na nieprzyjaciela. Idzie na Dyneburg! Grupa akademików wileńskich przyłącza się do oddziału Platerówny. Obok litewskich, żmudzkich pieśni, brzmi bojowym rytmem „koronarska”:

Krwil nie wołamy, zdobywcy nie chcemy,
Do maciowych mordów, do łupiestw nie-
zdolni,
Tylko Ojczyznę odzyskać pragniemy,
Tylko być wolni...

Straszliwy los Oszmiany, spalonej przez wojska rosyjskie, wyrznięcie jej mieszkańców, łuny na niebie wywołane pożarem miasteczek i wsi towarzyszą posuwającemu się oddziałowi powstańców. Wojna rozpałała się na dobre i tu i na Litwie i na Żmudzi. Niestety, wymarzony, wypracowany plan Platerówny — zdobycia Dyneburskiej fortecy nie udaje się. Komendant Szkoły Podchorążych, uprzedzony o zbliżaniu się powstańców, a nie pewny swoich elewów, wysłał ich pod eskortą kozaków do armii Dybieca. Nie można się już pokusić o zdobywanie fortecy — bez armat.

Platerówna nakazuje więc odwrót. Miejscowości, tak nie dawno zdobyte przez powstańców, były znowu w rękach rosyjskich. Zdobyte i spalone. Ludność wyrznięta albo tulająca się po lasach. Emilia postanawia z oddziałem swoim, który był za słaby wobec wojsk rosyjskich, połączyć się grupą generała

Zańskiego. Sława i odwaga Platerówny była już rozgłosna i gen. Zański wita ją z entuzjazmem, przygotowuje się nawet święto pułkowe na jej cześć. Ale zamiast uroczystości żołnierskiej, rozegrała się tu, pod Przystowianami, krwawa bitwa z nieprzyjacielem. Bierze w niej udział Platerówna. Jest pierwsza w tumulcie bitwy. Przeważające siły rosyjskich wojsk i znowu armaty rozstrzygają na niekorzyść powstańców.

Z resztkami swojego oddziału Platerówna przedziera się do lasu. Wyczerpana fizycznie, zgnębiona duchowo, dociera do jakiejś leśniczówki, oddalonej tylko 500 metrów od obozu rosyjskiego. Zostaje jednak na noc i dopiero o świcie idzie dalej. Idzie w stronę Wilna. Towarzyszy jej Maria Raszanowicz, która pozostanie przy Emilii wiernie, aż do końca. Wreszcie po trudach i niebezpieczeństwach, dociera Platerówna do oddziału gen. Chłapowskiego. Tu otrzymuje mianowanie na kapitana - komendanta pierwszej kompanii liniowej pierwszego pułku litewskiego. Pułk ten po kilku dniach otrzymuje rozkaz ruszenia do Kowna — jako 25 pułk liniowy.

Już lato, czerwiec. Z Królestwa na Litwę przychodzą pierwsze oddziały regularnych wojsk. Przechodzą wraz z nimi wiadomości o Grochowie, Olszynie, Stoczku. Rozpala serca ten rapsod bohaterstwa, o którym tu nie wiadziiano, że dobiega kresu pod Ostrołęką, że się wykrawia, aby na końcu rozbrzysnąć bo-



11 listopada, 1918 r. — Wojsko polskie pod Zamkiem Królewskim w Warszawie

ciągami, zwolniony wreszcie przez Niemców, jechał do Warszawy.

„Przyjechałem do Warszawy 11 listopada... Przeprowadziłem w pierwszych kilku dniach co najmniej z tysiące rozmów z ludźmi z najrozmaitszych stronnictw, z ludźmi najrozmaitszych autoramentów... Mówiono mi o najrozmaitszych rzeczach, podawano mi tyle recept na zbawienie Polski z ilu ludźmi rozmawiałem...

„Żyto w owym czasie... wrażeniami ciętaru życia i niepewności w samej Warszawie i w ówczesnym zaborze rosyjskim, w Królestwie. Niemiec był jeszcze na miejscu. Żołnierz niemiecki chodził jeszcze po ulicach Warszawy. Dokoła działo się coś nadzwyczajnego, o czym nikt ściśle nie wiedział, lecz trwożył się przed niepewnym jutrem. Setki tysięcy bezrobotnych, których Warszawa w owym czasie miała, o ile mi się zdaje, zajmowała znacznie więcej umysłu i trosk w sereach, niż jakiegokolwiek rzeczy, które się działy gdzieindziej.

„Minęło w ten sposób dla mnie kilka dni, w czasie których główną moją pracą było... uregulowanie w jakiś sposób swego osobistego stosunku do zjawisk, których nie zbadalem dotąd, do których nie byłem przygotowany i które wielkim, olbrzymim pochodem tłoczyły się na mnie, zadając ode mnie ustosunkowania się do nich. Z tej masy i powodzi faktów, z tej masy i powodzi recept, z tych wielkich hałasów na ulicach, które wówczas w Warszawie się działy, doszły do mnie bardzo niejasne i niewyraźne dane i o dawnym zaborze austriackim...

„Pierwszym moim dążeniem było zespolić to, co jest siłą. Czulem, że jeżeli rzeczy dalej pójdą w tak rozbieżnym kierunku, to to, co stanowi siłę i moc, wo-

bec zbliżającej się do Polski nieznaney jeszcze fali niebezpieczeństw, nie zostanie wytworzone. Korzystałem więc z każdej okazji, żeby siły wojskowe skupić w jednym ręku, i wobec dziwnej mojej rozumiałości wolałem, żeby one skupiły się w moim ręku. Tarczę mnie się udawała, udawała względnie lepiej, niż wszystkie inne cywilne prace, gdyż pod tym względem spotkałem zbyt silne tarcia i zbyt wielkie przeszkody w roznamietnionych, lecz chaotycznie usposobionych umysłach, z którymi musiałem się stykać. Starałem się więc zebrać wszystkie dane o stanie wojska i stanie siły w całej Polsce. W tym też czasie przybiegały do mnie najrozmaitsze wiadomości o stanie Lwowa”.

Takie Piłsudski zachował wspomnienia ze swego powrotu do Warszawy. Powitała go ona radośnie, kwiatami; z większym entuzjazmem przyjęła go bodaj raz jeden — gdy wracał po zdobyciu Kijowa. Warszawa, która mu tyle zgryzot sprawiła, w roku 1918-tym wyczuła w nim instynktownie jedynego człowieka, który podwaliny państwowość zbudować był zdolny. Rada Regencyjna przekazała mu władzę. Czynniki lewicowe, które powołały do życia Rząd Lubelski, mniej lub więcej chętnie stanęły do apelu. Uchylił się natomiast od współpracy ci, którzy swój wyraz polityczny widzieli w parryjskim Komitecie Narodowym.

Byłem jednym z pierwszych rozmówców Komendanta, z owego tysiąca, o którym wspomina. Nie pamiętam, bym mu dawał receptę na zbawienie Polski. Natomiast przyjechałem prosto z Lublina i mogłem zdać sprawę z wytworzonej tam sytuacji; była to cegielka do zbiegania danych o siłach w Polsce. Czekając na Komendanta, rozmawiałem z sze-

fem sztabu Sosnkowskim. Główną jego troską była myśl o spajaniu dawnych zaborów w jednolitą całość państwową; niewola wytworzyła różnice w strukturze społecznej i w psychice poszczególnych dzielnic. Sosnkowski troszczył się zwłaszcza o poznańskie i podkreślał konieczność wprowadzenia jego przedstawicieli do przyszłego rządu. Nie od razu się to udało; w gabinecie Moraczewskiego pozostawiono jednak dwie teki nie obsadzone dla reprezentantów zaboru pruskiego.

Z tysiąca rozmów wyłonił się rząd Moraczewskiego, jedyny, jaki mógł w tych warunkach powstać. Ideowo był on kontynuacją Rządu Lubelskiego, lecz został oparty na szerszych podstawach i otrzymał lepszą obsadę fachową.

Komendant mieszkał w Hotelu Francuskim, na Placu Zielonym (później Dąbrowskiego). Gdy przyszedłem tam na rozmowę, na podwórzu stała gromadka aresztowanych cywilnych agentów polskiej niemieckiej. Byli przybici i bladzi; nie wiedzieli, jaki los ich spotka. Nie stało się im jednak nie złego; słyszałem później, że wszyscy wrócili do Niemiec. Warszawa zbyt była upojona szczęściem, by mścić się na wrogach. Na ulicach poszczególni żołnierze niemieccy pozwalali się rozbrajać wyrostkom. W koszarach niemieckich utworzono rady żołnierskie. Porozumiewały się one z naszymi władzami politycznymi o powrót do kraju. To wojsko nie było już niebezpieczne. Natomiast na Ukrainie stała jeszcze silna, zupełnie nie zdemoralizowana armia niemiecka. Ta, gdyby siłą ruszyła na stawiającą pierwsze kroki Polskę, mogła ją obezwładnić bez trudu. Dzięki układowi, i tego niebezpieczeństwa udało się uniknąć.

Nowe życie rozkwitało coraz bujniej, choć nie bez tarę i niebezpieczeństw. Czuwał nad jego rozwojem Józef Piłsudski. Baczyl, by rozwijało się samodzielnie. Jedne z pierwszych słów, wyrzeczonych przez Komendanta po powrocie z Magdeburga, brzmiały jak przykazanie: „... Lud polski sam musi wykazać swoją zdolność organizacyjną, bo żadna siła z zewnątrz nie może mu jej narzucić”.

W polityce wewnętrznej — wszystko szło ku wolności i postępowi społecznemu. Na zewnątrz — zaczynaliśmy wykuwać nasze granice, znacząc je krwią, gdy tego było potrzeba. W dniu 11 listopada, 1918 roku, Polska była już wolna, granic jednak jeszcze nie miała.

Stanisław Janikowski

Kto chce zdobyć swoje swobodne życie, ten je zdobędzie. Ale za swoje swobodne życie trzeba umieć bez żałości podtego życia umierać. Śmierć za swobodne życie w niewoli. Taka śmierć to już jest swobodne życie.

Stefan Żeromski („Sutkowski“)

Krew nasza pocieczy w obce skały, piaski i gliny od wielkiej nędzy i od najtwardszych prac. Będziemy się walić w cudze rowy i stać po obcych drogach, ale dojdziemy!

Stefan Żeromski („Sutkowski“)



11 listopada, 1918 r. — Uroczysty pochód przez ulice Warszawy

KREW I NAFTA

(Miesięczny przegląd wydarzeń)

Po powrocie z Moskwy

Z uczuciem prawdziwej ulgi powitało wielu Polaków, a szczególnie ci, którzy poprostu nie chcą patrzeć tragicznej prawdzie w oczy, wiadomość, że „przecież znowu niczego w Moskwie nie podpisano”. Jakże wielu tą magiczną formułą odsuwa od siebie rzetelną obywatelską troskę o los w najwyższym stopniu zagrożonej niepodległości i znowu pociesza się: „To wszystko taktyka, nie złego się nie stało, bo przecież nie podpisaliśmy niczego”. Nie chce się widzieć tej prostej prawdy, że jedynym czynnikiem, który rzeczywiście taktykę uprawia, jest Stalin. Doprowadzając politykę prawowitego rządu polskiego do coraz to nowych aktów kapitulacji, Stalin systematycznie obniża wagę podpisu rządu polskiego, tak, by doprowadzić nastroje w opinii międzynarodowej i precedensy do stanu, w którym podpis rządu polskiego dla prawnego zalegali-

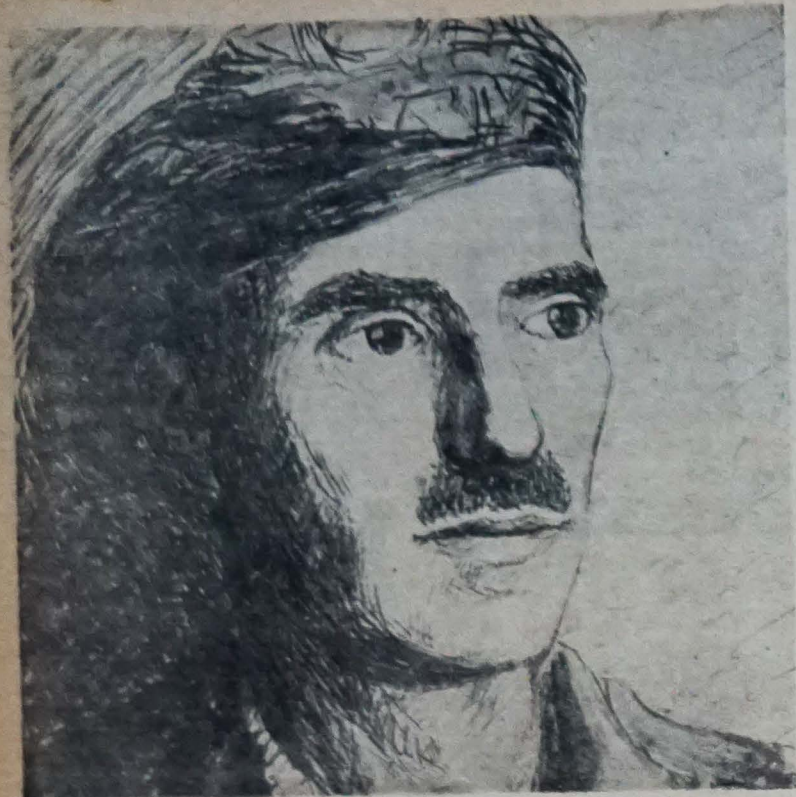
zowania rozbioru Rzeczypospolitej będzie dlań, jeśli nie zbędny, to w każdym razie o znacznie, znacznie obniżonej cenie.

Truizmem byłoby oczywiście stwierdzenie: „lepiej, że niczego w Moskwie nie podpisano”. Natomiast jak najstarannej trzeba przyjrzeć się dalszym losom sprawy polskiej na międzynarodowej giełdzie politycznej po konferencji moskiewskiej. Z łatwością zauważymy, że tu pojawiły się nowe nuty; z jednej strony zniecierpliwienie przeciaganiem rokowań polsko-rosyjskich przez stronę poską, z drugiej strony przesunięcie dyskusji na płaszczyznę gwarancji dla tej nowej Polski, która z łaski Stalina na zachód od linii Curzona miałaby powstać, podczas gdy konieczność zrezygnowania z ziem polskich na wschód od linii Curzona uważa się za przesadzoną.

Premier Churchill w Izbie Gmin nazwał sprawę polską „najbardziej na-

glacą i palącą”, linię Curzona i sprawę rekompensat nazwał „zagadnieniem kluczowym”, wyraził nadzieję, że „Mikolajczyk wkrótce powróci do Moskwy”, a dążenia i zobowiązania Wielkiej Brytanii w stosunku do Polski ujął w szeregu zdań, znacznie swym tonem różniących się od prostego języka umowy polsko-brytyjskiej. Premier Wielkiej Brytanii wytrwałym i stałym celem jest, by naród polski... znalazł znośny dom i spokojne miejsce, które, chociaż niepełnie może będzie się pokrywać i odpowiadać Polsce w granicach przedwojennych, tym nie mniej będzie dostateczne dla potrzeb narodu polskiego”.

Premier Wielkiej Brytanii wyraził żal, że na rezygnację z połowy Rzeczypospolitej nie zgodziliśmy się jeszcze w lutym, gdy po raz pierwszy nam linię Curzona zapropono-



Dowódca 2 Korpusu Gen. Dyw. Władysław Anders
(Szkic Z. Turkiewicz w albumie „Montecassino“)

wał: „Gdyby rząd polski był przyjął rady, które przedkładaliśmy mu na początku tego roku, nigdy nie byłoby powstały dodatkowe komplikacje, wyniki z utworzenia Komitetu Wyzwolenia Narodowego w Lublinie”.

Pewien nowy ton pojawił się również w doniesieniach prasy londyńskiej o postawie rządu polskiego, względnie jego poszczególnych członków. Z tych doniesień widzimy, że nieugięta postawa Kraju, jego bezkompromisowa walka, ofiara Warszawy, pamięć o tym, że żołnierze polski nie bije się o linię Curzona, a o Polskę całą i prawdziwie niepodległa, świadomość, że do nikogo innego, jak do żołnierza należeć będzie ostatnie słowo, muszą zmusić każdego, kto ochroń bagnetów rosyjskich nie chce szukać, do poważnych refleksyj, zanim na akt kapitulacji się zdecyduje. „Observer” z 29.X. pisał: „Niektórzy ministrowie chcieliby w każdym razie odrzucić linię Curzona: — Zastrzelonoby nas w Polsce, gdybyśmy się na nią zgodzili — to były słowa jednego z ministrów”. Ten sam dziennik doniósł również, że „gabinet polski nie jest przychylnie usposobiony do przyjęcia moskiewskich warunków. Prawdopodobnie gabinet nie pójdzie dalej niż sam Mikołajczyk w swoich bezpośrednich rozmowach ze Stalinem”. — Również z prasy angielskiej dowiedzieliśmy się, jakoby Mikołajczyk w Moskwie wysunął propozycję „zwrócenia” Lwowa Polsce, a pozostawienia Wilna Z.S.R.R.

Jeszcze raz gwarancje

Wreszcie angielski „Observer” w numerze z 5 listopada postawił kropkę nad i — precyzując tak jak je widzi jego korespondent specjalny — stanowiska: Churchilla, rządu polskiego i opozycji wewnątrz rządu polskiego.

Więc Churchill, zdaniem pisma, „podkreślił, że oczekuje, że rząd polski jasno określi swą postawę

w ciągu najbliższych kilku dni i że zdecyduje się w sprawach terytorialnych, zanim wszystkie inne sprawy będą dyskutowane”. Wynika z tego niedwuznacznie, że rządowi polskiemu postawiono warunek pogodzenia się ze zrzeczeniem się ziem wschodnich jako warunek wstępny do dalszych rozmów.

„Observer”, dla uniknięcia nieporozumień, przypomina, że „plan moskiewski przewidywał przyjęcie przez Polaków linii Curzona jako granicy wschodniej, a Odry jako granicy zachodniej”. Konieczność ustąpienia Polaków na linię Curzona przestała w międzynarodowej opinii podlegać dyskusji, głównie, rzecz jasna, dzięki kolejnym etapom kapitulacji naszej własnej polityki zagranicznej, którym na imię: linia demarkacyjna, pierwsza podróż do Moskwy, memorandum, druga podróż do Moskwy, pertraktacje z lubelskim komitetem.

Z kolej powstało następne pytanie: A co z Polską na zachód od linii Curzona, kto gwarantuje jej nowe granice, kto gwarantuje jej niepodległość i suwerenność? Czy mocarstwa, których odpowiedzialni politycy pchali p. Mikołajczyka na coraz to dalsze ustępstwa, zresztą systematycznie przez Moskwę odrzucane jako niewystarczające, będą gotowe udzielić gwarancji Polsce i jej granicom?

Cytowany „Observer” donosi: „Gabinet polski postanowił nie wypowiadać się w sprawie granic, dopóki ta sprawa nie będzie traktowana łącznie z wszystkimi innymi problemami, wyłaniającymi się pomiędzy Rosją i Polską, a w szczególności ze sprawą rządu w Polsce. Rząd wie granie tak długo, dopóki lubelski komitet wyzwolenia kontroluje uwolnione polskie tereny”.

Wyrażając to stanowisko w słowach prostych, brzmi ono: „Usunieć przy-

najmniej agentów Moskwy z ziem na zachód od linii Curzona, zanim zgodzimy się na utratę naszych ziem wschodnich”.

W tej sytuacji socjalistyczni członkowie polskiego rządu zdecydowali się sprawę postawić wyraźniej, formułując to najprostsze pytanie, które stale dreczy każdego obywatela, a coż dopiero żołnierza Rzeczypospolitej: Co przyjdzie nam z tego, że ziemie wschodnie oddamy Rosji, jaka siła zagwarantuje nam, że w Polsce, zaczynającej się od linii Curzona, będziemy panami swego losu, a nie wasalami Moskwy, a w przyszłości jej niewolnikami?!

Oto, co pisze prasa angielska: „Socjalistyczni ministrowie polscy zgłosili wniosek, by rząd nie podejmował żadnych zobowiązań, dopóki nie uzyska angielsko-amerykańskich gwarancji, że w każdym układzie pomiędzy Rosją i Polską — Polska zachowa swą niepodległość i suwerenność. Gwarancje powinny zabezpieczać Polskę powojenną przeciwko agresji zarówno ze strony Niemiec, jak i Rosji”.

Jakże dalekie jest to stanowisko od ideałów, w imię których na tyłu frontach przelewa swą krew żołnierz polski, dla którego paktowanie o linię Curzona, a tym bardziej jej przyjęcie, byłoby prosto zdradą.

Lecz angielski dziennik wylewa jeszcze jeden kubeł lodowato zimnej wody na tych, którzy jakiegokolwiek nadzieję w polityce ustępstw pokładali, bo oto okazuje się, że: „jest rzeczą wysoce nieprawdopodobną, by oba rządy sprzymierzone (Wielkiej Brytanii i U.S.A.) udzieliły gwarancji tego rodzaju. Formuła socjalistów jest w rzeczywistości negatywną odpowiedzią na propozycje moskiewskie”.

Inne pismo angielskie, „Sunday Times” zapewnia nas, że „umiarkowane koła (polskiej) opinii skłaniają się do przyjęcia linii Curzona, jako zła, od którego niema ucieczki” i że, „te koła polskiej opinii, które zajmują zupełnie nieprzejednane stanowisko, stanowią stosunkowo małą mniejszość, a Mikołajczyk może liczyć na poparcie większości politycznych ugrupowań w swej ostrożnej polityce, zmierzającej do znalezienia podstawy przyjaznej współpracy z Rosją. Rząd brytyjski popiera to całym sercem w tym względzie”.

Czyny żołnierskie

Równoległe do nacisków na Rząd Polski, zmierzających do skłonienia go do dalszych ustępstw, do kontynuowania polityki kapitulacji — żołnierz polski, zarówno czynami bojowymi na wszystkich odcinkach, na których walczył, jak i swoją postawą ideową, składa w ręce tegoż Rządu ogromny kapitał ofiary, znacznie przekraczający granice zwykłego obowiązku; kapitał, którego zmarnowanie byłoby zbrodnią wobec historii.

Na froncie włoskim ponowne wejście do akcji 2. Korpusu na bardzo trudnym odcinku górskim, nie tylko ożywiło działania na tym froncie, nie tylko dało „Lwowiakom” jeszcze jedną moralną satysfakcję — zdobycia Predappio, rodzinnego miasta tego, który pierwszy, ale nie ostatni, sprawę Polski uważał za załatwioną, a Polskę za zlikwidowaną — ale i oddało dowództwu

8 armii szereg poważnych pozycji. Po zdobyciu miasta Dovadolo i walkach o wyniosłość Monte Casaluda, oddziały 2 Korpusu podeszły pod stolicę prowincji Romagna, miasto Foerli i schodzą w dolinę Padu.

W Holandii wojska polskie zdobyły miasto Bredę, stoczyły szereg ciężkich walk nad kanałem Mark i wreszcie nie komu innemu, jak Polakom, przypało w udziale zlikwidowanie fanatycznie bronionego przez Niemców ufortyfikowanego miasteczka Moerdijk, stanowiącego ostani punkt niemieckiego oporu na południowym brzegu rzeki Mosy.

We Francji wreszcie w nową fazę wszedł zaciąg ochotniczy do wojska polskiego. Rekrutacja odbywa się przez biura POWN; zgłaszający się, gromadzeni w obozach przejściowych, odjeżdżają następnie na przeszkolenie do W. Brytanii.

Nie ustała zbrojna walka narodu polskiego i w Kraju, pomimo zniszczenia w Warszawie głównego trzonu Armii Krajowej. Stale napływają wiadomości o walkach oddziałów Armii Krajowej z Niemcami. Perfidna propaganda niemiecka, zmierzająca do zdyskontowania na swoją korzyść powstania warszawskiego, nie odniosła skutku.

Natomiast z ziem wschodnich Rzeczypospolitej radio lubelskiej Targowicy doniosło o całym szeregu „napadów” żołnierzy Armii Krajowej na oficerów sowieckich i żołnierzy armii „ludowej”. Jest rzeczą jasną, że Moskwa, nie mogąc dać sobie rady z oddziałami Armii Krajowej, ani przez deportacje, ani przez przymusowe weielanie do armii Berlinga, przez rozsiwianie tego rodzaju wiadomości przygotowuje sobie grunt pod nową falę terronu.

Do wiosny 1945 r.

W tym czasie, „gdy w świecie znowu o Polakach głośno”, nie tylko z powodu stawianych w stosunku do nas żądań, ale i z powodu czynów polskiego, żołnierza, wojna na europejskich frontach weszła w stadium chwilowej „równowagi”.

Premier Churchill raz jeszcze przestrzegał przed żywieniem nadziei na bardzo rychłe zakończenie wojny, podając wiosnę lub nawet pierwsze miesiące lata 1945 r. jako przypuszczalny termin osiągnięcia zwycięstwa nad Niemcami, skwapliwie dodając, że po tym czasie, 18 miesięcy będzie potrzeba dla pokonania Japonii.

Już po buńczucznej zapowiedzi Stalina, że wkrótce w Berlinie załopocą sowieckie sztandary, w przemówieniu 9 listopada na śniadaniu u lorda majora Londynu — premier był jeszcze ostrożniejszy, mówiąc: „nie należy nikogo ganić — pod warunkiem, że nie zmniejszy swych wysiłków — za żywienie nadziei, że sprzymierzeni osiągną zwycięstwo i pokój spłynie na Europę w roku 1945”.

Równocześnie padają zapowiedzi, że nadchodząca zima nie będzie oznaczała przerwy w działaniach wojennych, a przeciwnie, że zewsząd przygotowuje się nowe potężne ciosy przeciwko oblężonej niemieckiej fortecy.

Komunikaty niemieckie przestrzegają, że po czasowej przerwie napewno Ro-



Z walk 2 Korpusu: Saperzy „Kresowej” znaczą białą taśmą przejścia wolne od min

sjanie przedsięwzją gwałtowną ofensywę na Prusy Wschodnie i Polskę, a równocześnie Amerykanie i Brytyjczycy podejmą na wielką skalę ofensywne działania na zachodzie, do czego obecna ofensywa 3-ciej armii amerykańskiej przez Mozele stanowi jedynie preludium.

W ocenie dotychczasowych wysiłków i znaczenia poszczególnych frontów wojennych daje się zauważyć poważne różnice.

Stalin w mowie, z okazji rocznicy rewolucji październikowej, armii sowieckiej przypisuje zasługę wzięcia 204 dywizji niemieckich i węgierskich na froncie wschodnim, twierdząc, że na zachodzie sprzymierzeni wzięli tylko 70 dywizji.

Też Stalina prasa brytyjska przeciwstawia twierdzenie, że straty niemieckie na zachodzie i wschodzie były w tym roku równe, a to jest przecież lepsza miara skuteczności ciosów, zadawanych niemieckiej machinie wojennej, niż przypuszczalna liczba związanych dywizji. Jeśli nie zapomnimy, że do obliczenia „równych” strat niemieckich na zachodzie i wschodzie, jako podstawa służyły dane sowieckie z frontu wschodniego, zrozumiemy, że już dziś w wojnie przeciwko Niemcom conajmniej równy sowieckiemu ciężar ponoszą sprzymierzeni. A wiele jest danych, wskazujących na

to, że główny ciężar wojny ponoszą już dziś Anglosasi, a nie Z.S.R.R.

Rosja Sowiecka natomiast wykorzystując glorię, jaka otacza jej dotychczasowe osiągnięcia wojenne, coraz bardziej bezwzględnie narzuca siebie jako arbitra w decyzjach politycznych, kształtujących nie tylko losy Europy, ale w znacznym stopniu i świata całego.

„Jeśli chodzi o sytuację na frontach w ciągu ostatnich 8-10 tygodni, byliśmy świadkami 2 zacieklej i kosztownych zmagani — pierwszego w Apeninach — drugiego w Holandii” (Churchill).

We Włoszech przełamano „straszliwą barierę” Apenin i linii Gotów, wojska sprzymierzonych zeszyły do doliny Padu, mając przeciwko sobie „armię prawie równie wielką, jak nasza własna”.

Całe terytorium Grecji zostało oczyszczone z wojsk niemieckich.

W Holandii tymczasem otwarto ostatecznie ujście Szeldy, co pozwoli wkrótce na wykorzystanie portu Antwerpii. Walki w Holandii należą do najcięższych w tej wojnie. Niemcy bronią zaciekle każdego kanału i każdej wyspy.

We Francji 3 armia amerykańska rozpoczęła ofensywę w kierunku na Strassburg, zmierzając do wyrzucenia ostatnich



Z walk 2 Korpusu: Na górskim odcinku „Kresowej”

(fol. Chrusciel)



Na nowym odcinku „Kresowej” znowu pojawiły się muły
(*fol. Chrusciel*)

sił niemieckich z terytorium Francji pomiędzy Mozela a granicą Rzeszy.

Na froncie wschodnim po przerwie, która trwa od 2 miesięcy na odcinku środkowym tj. na odcinku Wisły — ustabilizował się również front północny; ofensywa niemiecka na Prusy Wschodnie została powstrzymana przed wejściem armii czerwonej na teren błot mazurskich.

Jedynie na Węgrzech i w Jugosławii trwały postępy sowieckie, lecz chwilowo Malinowski stanął u wrót Budapesztu i w każdym razie nie zrobił ze stolicy Węgier podarku Stalinowi na dzień rocznicy październikowej rewolucji.

Zgodnie z przestrogi Dittmara chwilowe przyzyszenie należałoby traktować jako „ciszę przed burzą”.

Filipiny i Kweiling

Tymczasem na Dalekim Wschodzie działania wojenne są coraz bardziej intensywne. Wojska amerykańskie przeprowadziły pomyślnie najsmielszą ze wszystkich dotychczasowych operacji na tym teatrze działań wojennych, lądując w samym sercu Filipin — na wyspie Leyte.

Trzy potężne zagony floty japońskiej, która wreszcie wypłynęła z ukrycia, zmierzające do zniszczenia koncentrycznym manewrem desantu amerykańskiego, nie tylko nie osiągnęły swego celu, ale poniosły poważne straty i zmuszone zostały do wycofania się. Rozgorzałe na wyspie Leyte walki mają charakter niezwykle zaciekły. Pomimo rzucania przez japońskie dowództwo coraz to nowych posiłków, nie ulega wątpliwości, że Amerykanie utrzymają się na Filipinach, a co za tym idzie, usadowią się w czułym punkcie japońskich imperialnych morskich szlaków. W naczelnym dowództwie japońskim nastąpiły poważne zmiany będące zapewne echem sukcesów amerykańskich.

Natomiast na kontynencie azjatyckim Japończycy prowadzą zakrojoną na ogromną skalę ofensywę w Chinach. Z dwu stron uderzyli w kierunku miasta Kweiling (patrz mapa), zdobyli Kweiling i dążą do zamknięcia pierścienia i ustanowienia bezpiecznego lądowego połączenia przez Chiny do Birmy i Singa-

pur, co może w znacznym stopniu rekompensować skutki usadowienia się Amerykan na Filipinach.

Sytuacja militarna Chin jest trudna. Pogarsza ją jeszcze bardziej sytuacja polityczna, napięta przez grę komunistów. W Chinach sytuacja rozwija się wedle tych samych wzorów co w Jugosławii i w Polsce. Rozsadzające państwo chińskie od wewnątrz czynniki komunistyczne oskarżają wodza zjednoczonych Chin o ... rozbijanie chińskiej jedności, polegające na tym, że nie chce on wydać swej ojczyzny na łup komunistycznych agentur i żywi przekonanie, że dla przyszłości Chin niewola japońska, czy panowanie komunistów w Chinach oznacza to samo. Armie Czang Kai Szeka oskarża się już nawet o ... kontrabandę na rzecz Japończyków.

Narazie na żądanie Czang Kai Szeka usunięty został głównodowodzący amerykańskimi siłami wojennymi na tym terenie gen. Stillwey, a w ślad za nim ustąpił ambasador amerykański E. Gauss.

Dowodem zwiększonego zainteresowania się Z.S.R.R. sprawami podziemia Azji jest nieoczekiwane określenie Japonii jako „agressora” w mowie Stalina. Czy stanowi to jedynie podbicie ceny, za którą Z.S.R.R. gotów jest ostatecznie nie tylko w sprawach rybołówstwa porozu-



Dwie ofensywy japońskie w Chinach

miec się z Japonią, czy też jest to krok mający uzasadnić udział Z.S.R.R. w podziale Chin, narazie nie wiemy, podobnie jak nie wiemy jeszcze, gdzie w Chinach ma przebiegać linia Curzona. Przyszłość okaże.

O ile w Chinach ostatecznie linię Curzona można narazie prowadzić podobnie „bezkarnie” jak na żywym ciele Polski, o tyle linia Curzona poprowadzona przez Persję, leżąca zbyt blisko Indyi i znacznie niż Polska bogatszą w naftę, byłaby nie do zniesienia dla interesów anglosaskich.

Nafta irańska i międzynarodowe linie lotnicze

Na terenie Iranu wybuchł otwarty kryzys pomiędzy interesami Z.S.R.R. i anglosaskimi. Oto w momencie, gdy „rząd perski przygotowywał się udzielenia koncesji na eksploatację ropy naftowej” jednej z firm anglosaskich, z żądaniem przyznania koncesyj wystąpiła Rosja Sowiecka. Rząd perski zdecydował się odłożyć udzielenie koncesyj firmom anglosaskim, ale Z.S.R.R. czekać nie chce. Moskwa zapewnia, że masy perskie całkowicie popierają żądania sowieckie; prasa amerykańska donosi, że rząd obecny Mohammed Maraghei Saed'a najprawdopodobniej będzie musiał ustąpić, lecz nowy rząd zapewne będzie prowadził tę samą politykę i koncesyj Związkowi Sowieckiemu nie udzieli. Prasa amerykańska przypomina, że źródła naftowe w Iranie są prawdopodobnie najbogatsze w świecie; przypomina się traktaty, którymi wielej sojusznicy zobowiązali się szanować suwerenność Iranu i w 6 miesięcy po zakończeniu działań wojennych wojska swe z Iranu wycofać; ba, nawet przypomniano, że na terenach okupowanych przez wojska czerwone nawet Persowie nie mogą się poruszać bez zezwolenia władz sowieckich. Więcej, w dniu rocznicy październikowej rewolucji perska policja i wojska pozwoliły sobie w Teheranie na krok, na który w chwili obecnej nie odważyłyby się żaden z rządów krajów świeżo z pod okupacji niemieckiej wyzwolonych: po prostu wkroczywszy do jednego z gmachów teherańskich, aresztowano organizatorów mitingu poświęconego rocznicy październikowej rewolucji. Lecz i nafta perska ma swój aspekt... polski. Oto oficjalna oświadczenia amerykańskiego oświadcza przedstawicielowi „United Press”, że sprawa nafty irańskiej może wkrótce zupełnie przyćmić sprawę polską.

O, gdyby polska krew miała cenę nafty irańskiej!

Już poprzednio Związek Sowiecki odwołał jadących już do Chicago przedstawicieli Z.S.R.R. na odbywającą się tam międzynarodową konferencję lotniczą. Okazało się, że rząd sowiecki nie może zasiadać przy jednym stole obrad z przedstawicielami tak faszystowskich krajów jak Hiszpania, Portugalia, a przede wszystkim... Szwajcaria. Zabiegi tej ostatniej o nawiazanie stosunków dyplomatycznych z ojczyzną proletariatu i wyrocznią demokracji, zostały odrzucone z należytą pogardą, na jaką w pełni zasłużyła wiekowa „kolebka tyranii” — Szwajcaria.

Od Czang-Kai-Szeka do Thoreza

Od dalekich Chin, gdzie w momencie śmiertelnych zmagania tego kraju podkopyje się autorytet jego wodza, bo nie jest komunistą, przez Iran, gdzie premier jest faszystą, bo pod groźbą zbrojnej przemocy kraju swego sprzedawać nie chce, przez wszystkie kraje Europy, aż do jej najbardziej zachodniego hiszpańskiego krańca, wszędzie na żywym ciele narodów, które jeszcze nie mogły zapomnieć faszystowskiego wydania tyranii, makabryczny taniec szatanów rozpoczęły obcej potęgą zaprzędane moce, zmierzające do wydania Europy i świata na łup innego koloru tyranii.

W Rumunii znowu zmienił się rząd, tym razem wolny już od doświadczonych przewodców w rodzaju Maniu, a o krok bliższy do sowieckiego ideału. Do Rumunii pojechał p. Wyszyński przypilnować wykonywanie przez Rumunię poddyktowanych jej warunków. Marsz. Tito znowu poleciał do Moskwy. W Grecji uwolnionej już w całości od wojsk hitlerowskich zakwitły czerwone sztandary, a oddziały partyzanckie ELAS'u zdawały się być o krok od zagarnięcia władzy. Lecz Grecja leży blisko Suez, a uwolniły ją wojska brytyjskie. To też premier Papandreu, a po nim generał Ronald Scobie, mogli wyznaczyć termin rozbrojenia „patriotów” na rzecz regularnych sił państwa greckiego. We Włoszech pełne ręce roboty ma policja kryminalna i nie kryminalna nie tylko ze ściąganiem faszystów, ale i coraz to nowymi morderstwami, czy nawet, jak w wypadku Palermo, rozruchami.

Do Francji powraca świeżo amnestiowany z Moskwy dezertor z armii francuskiej, przewodca komunistów francuskich Thorez.

We Francji „narodowa rada oporu” mocno protestowała przeciwko zarządzeniom nakazującym wezwanie oddziałów partyzanckich w szeregi armii francuskiej. Ale brzeg Francji omywają wody kanału La Manche, toteż z wizytą do „cierpkiego” i umiejącego twardo bronić interesów swego kraju gen. de Gaulle'a wyjechał Churchill, a wybiera się Roosevelt.

Granice hiszpańsko francuską przeszły oddziały hiszpańskich republikanów, a w samej Hiszpanii poważne niepokoje i walki rozgorzały w prowincjach: Galicja, Estremadura i Andaluzja.

Nie dziw, że na tym tle coraz częściej pojawiają się w prasie anglosaskiej głosy rozważające różne aspekty podziemia Europy na dwie sfery wpływów: brytyjską i sowiecką, nie unikające dla tych sfer i innych nazw jak „komunistyczna” i „demokratyczna”, „materialistyczna” i „chrześcijańska”.

Po wyborze Roosevelta

Naród amerykański stosunkowo skromną większością głosów (w chwili, gdy piszemy te słowa ilość podliczonych głosów na Roosevelta wynosi 23.597.000, na Dewey'a 20.742.000) po raz czwarty swe losy złożył w ręce prezydenta Roosevelta. Napewno nie małą rolę w tej decyzji amerykańskiego narodu odegrała chęć umożliwienia jak najskuteczniejszego, nieprzerwanego prowadzenia wojny przez tego samego człowieka, który ją od początku prowadzi i z racji swego stano-



Spadochroniarze polscy w Holandii

wiska jest równocześnie naczelnym wodzem armii amerykańskiej.

Z wyboru prezydenta Roosevelta wyraża swe „zadowolenie” Moskwa, premier Churchill wyraża swą osobistą radość i natychmiast zapowiada następne spotkanie wielkiej trójki, które wedle niektórych głosów powinno odbyć się przed końcem tego roku, a może nawet jeszcze w tym miesiącu. Na spotkanie to czekają nie tylko najważniejsze dalsze decyzje strategiczne doprowadzenia wojny z Niemcami do zwycięskiego końca, ale i liczne i zawikłane problemy polityczne, komplikujące się stale od momentu wejścia do obozu sprzymierzonych eurazjatyckiego partnera, mającego nie tylko szerokie żądania, ale i specyficzne, jak je lubi nazywać anglosaska prasa, metody postępowania, a którego niewątpliwą zasługą, oprócz bezspornych osiągnięć militarnych, jest uczynienie tej wojny „coraz mniej ideologiczną”.

Z niesłychanie pobieżnego rzutu oka na rysujące się na przestrzeni jednego miesiąca wypadki, widzimy, że coraz więcej nagromadza się poważnych problemów, które nie mogą być rozwiązane mechanicznie według woli silniejszego;

o ile cały ogromny wysiłek tej wojny nie ma okazać się daremnym.

Sprawa polska jest tych nierozwiązanych zagadnień na pograniczu siły i prawa probierzem, ale bynajmniej nie do darowania byłoby rzucenie przez nas samych losu naszego państwa jako ofiary na rzecz ratowania interesów i łagodzenia przeciwności „możliwych tego świata”, a obowiązkiem racji stanu i chwili dziejowej jest bezkompromisowe stawianie sprawy polskiej jako probierza ideałów, które świat cywilizowany wyznawać musi pod groźbą samobójstwa w razie wyrzeczenia się ich.

Codzienny żołnierski czyn i krwawa, trudna żołnierska droga jest wyzwaniem rzuconym światu, za które nam kiedyś bardziej niż za wrześniejąca decyzję świat będzie wdzięczny i jest jedyną drogą, która do wolnej Polski prowadzi i doprowadzi, choć napewno nikt z nas dziś nie wie jeszcze, przez jakie losy koleje.

Każdy natomiast następny etap kapitulacji jest niezym innym, jak tylko obniżaniem własnej wartości, marnotrawieniem kapitału nagromadzonego przez walkę całego narodu, a tak potrzebnego na decydującą chwilę.

M. p. 10. XI. 1944. Jarostaw Zaba



Tanki polskie na ulicach miasta Ghent (Holandia)



Zmarli na wygnaniu w ZSRR

ZADUSZKI

Zaduszki mają poczwórny sens i znaczenie.

Jest najpierw ich strona osobista i doczesna: potrzeba duszy ludzkiej, która chce i musi wracać myślą do tych co nam są bliscy, a umarli. Będą może sceptycy i racjonalisci dowodzący, że który stracił brata, albo wdowie po poległym żołnierzu, że smutek i opłakiwanie grobów... nie ma sensu ni celu. Ale, pomijając już sprawę naszej wiary w nieśmiertelność naszej duszy, ci mędrcy bez rozumu zapominają, że taka jest potrzeba ludzkiej natury i że są chwile w życiu człowieka, kiedy żadne mędrkowanie nie zastąpi mu prostego smutku czy płaczu nad drogą mogiłą. I dlatego nikt z nas wstydzic się go nie potrzebuje; przeciwnie, wstydzic by się powi-

nien, gdy wypruwszy z duszy ludzkiej uczucia miłości i smutku, chciał o swoich zmarłych nie myśleć. Zaduszki mają swój sens i godność nawet na tej najprostszej, najbardziej indywidualnej i przedchrześcijańskiej płaszczyźnie.

W rzeczywistości Zaduszki są czymś znacznie więcej. Od wielu tysięcy lat chodzimy w ten sposób na groby, zapalamy świecę i śpiewamy pieśni żałobne. Na Zaduszkach nie jesteśmy tylko sobą: w nas i przez nas działa, modli się i śpiewa większa od nas siła — wielowiekowa wspólnota duchowa i tradycja Polskiego Ludu. I choć ów pęd na groby w dzień pierwszego listopada wychodzi z ciemnych dziedzin podświadomych, choć jest pół-zwierzęcą, podobową mocą, nie mamy powodu się go

bać, ani unikać zanurzenia się w nim na chwilę. Ta więź, choć leży u niskich podstaw naszej jaźni, jest przecież potężną więzią z tym, czego także świadomie, jako ludzie i jako osoby, chcemy być częścią i sługami: Ludu Polskiego, jednego poprzez wieki swoim duchem i swoją kulturą. Zaduszki łączą nas z Polską. Będą nam mówili o konieczności postępu, zarzucenia „prze- starzałych” form i obyczajów. Nie wierzymy: w tych formach i obyczajach żyje i przekazuje się z pokolenia w pokolenie treść naszego narodowego bytu. Mieźmy odwagę, jak ludzie świadomi swojego miejsca pod słońcem, przyznawać się do tego prastarego obrzędu, brać w nim udział całą naszą istotą i sercem.

Odwieczne zaduszkowe obrzędy przejęte są u nas od lat tysiąca, przemienione przez Chrześcijaństwo. Zaduszki nie przestały być przez to przejawem ducha plemiennego, ale stały się czymś znacznie więcej — jak wszystko, czego dotknął geniusz naszej Wiary. Na mętne tło przekonania o jakimś życiu pozagrobowym Ewangelia przyniosła nam pewność nieśmiertelności duszy i nie znany pogańskiemu światu dogmat świętych obcowania. Ten zwłaszcza ostatni sprawa, że obrzęd żałobny nabiera głębokiego duchowego sensu. Idziemy na groby, bo one pomagają nam w uprzytomnieniu sobie Zmarłych, ale idziemy nie do ich prochów, lecz po zetknięcie z ich duchem. Jest prawdą naszej Wiary, że ten kontakt jest nie tylko możliwy, ale i nakazany: w modlitwie. Chrześcijańskie Zaduszki, to już nie tylko wspomnianie Tych co odeszli, ani pełnienie atawistycznie przekazanej nam funkcji społecznej, ale dzień modlitwy za umarłych, opartej na wierze, że wszystkie mosty z Nimi nie są zerwane i że serdeczna prośba o miłosierdzie Boskie ma rzeczywisty wpływ na nich i dla nich znaczenie.

Opowieść o Cichowskim

(z ADAMA MICKIEWICZA III cz. „Dziadów”, scena VII, „Salon Warszawski”)

Znałem go, będąc dzieckiem. — Był on wtenczas młody, Żywy, dowcipny, wesół i sławny z urody; Był duszą towarzystwa; gdzie się tylko zjawiał, Wszystkich opowiadaniem i żartami bawił; Lubił dzieci i często brał mnie na kolana. U dzieci miał on tytuł wesołego pana. Pamiętam włosy jego; nieraz ręce moje Płatałem w jasnych włosów kędzierzawe zwoje; Wzrok pamiętam: musiał być wesoły, niewinny, Bo kiedy patrzył na nas, zdawał się dziecinny; I patrząc na nas, wabił nas do swej żrenicy. Patrząc nań, myśleliśmy, żeśmy rówieśnicy. On wtenczas miał się żenić; — pomnę, że przynosił Dzieciom dary swej przyszłej i na ślub nas prosił. Potem długo nie przyszedł, i mówiono w domu, że niewiedzieć gdzie zniknął, umknął pokryjomu, Szuka rząd, ale śladu dotąd nie wytopił; Nakoniec powiedziano: zabił się, utopił. Policja dowodem stwierdziła domysły; Znalaziono płaszcz jego nad brzegami Wisły; Przyniesiono płaszcz żonie; poznała: on zginął; Trupa nie znaleziono — i tak rok przeminął. Dlaczegoż on się zabił? Pytano, badano, Żalowano, płakano; wreszcie zapomniano. I minęło dwa lata. — Jednego wieczora Więźniów do Helwederu wiedziono z klasztoru. Wieczór ciemny i dżdżysty; nie wiem, czy przypadkiem,

Czy umyślnie ktoś był procesyji świadkiem; Może jeden z odważnych warszawskich młodzieńców, Którzy śledzą pobytu i nazwiska jeńców; Warty stały w ulicach, głucho było w mieście — Wtem ktoś z za muru krzyknął: więźnie, kto jesteście? Sto ozwało się imion; wśród nich dosłyszano Jego imię i żonie nazajutrz znać dano. Pisała i latała, prosiła i błagała, Lecz prócz tego imienia nic nie posłyszała. I znowu lat trzy przeszło bez śladu, bez wieści. Lecz nie wiedzieć kto szerzył w Warszawie powieści, że on żyje, że męczy, że przyznać się wzbrania, I że dotąd nie złożył żadnego wyznania; że mu przez wiele nocy spać nie dozwolano, że karmiono śledziami i pić nie dawano; że pojono opijum, nasyłano strachy, Larwy; że łaskotano w podeszwy, pod pachy. — Lecz wkrótce innych wzięto, o innych zaczęli Mówić; żona płakała, wszyscy zapomnieli.

Aż niedawno, przed domem żony w nocy dzwonią; Otworzono: officer i żandarm pod bronią, I więzień — On! Każą dać pióra, papieru, Podpisać, że wrócony żywy z Belwederu. Wzięli podpis i palcem pogroziwszy: „jeśli Wydasz...”, i nie skończyli; jak weszli, odeszli. To on był. — Bieję widzieć; przyjaciel ostrzega: Nie idź dzisiaj, bo spotkasz pod progami szpiega. Idę nazajutrz, — w progach policyjskie draby; Idę w tydzień: on sam mnie nie przyjmuje, słaby. Aż niedawno, za miastem w pojeździe spotkałem. —

Ta sama katechizmowa prawda ma inny jeszcze, a tak niestety mało u nas znany aspekt. Wynika z niej i to, że nasi Zmarli są, nie przenośnie tylko, ale naprawdę i w wyższy niż możemy pojąć sposób, z nami i wśród nas. Uczy o zbawionych doktryna Kościoła, że więcej wiedzą o swoich bliskich i sprawach, które im były drogą za życia. Ze matka, która pozostawiła dzieci, jest z nimi w każdej chwili i wszędzie, a żołnierz, co padł na polu bitwy, dostrzega z tamtej strony, lepiej niż ktokolwiek z żyjących, każdy ruch swojego oddziału i każdą fazę walki, której nie danym mu było skończyć na ziemi. Uczy także o ich woli pomagania nam we wszystkich naszych dobrych sprawach i łączności z nami w każdym prawym czynie.

I dlatego Zaduszki także z chrześcijańskiego stanowiska mają charakter w najwyższym stopniu społeczny. Są dniem pełniejszego uświadomienia sobie naszej z Nimi łączności w służbie Bożej Sprawy. Zostawili na ziemi nie dokończone dzieło. Opuścili pole walki i poszli po wieczną nagrodę. Na ziemię, na przebieg wojny, którą toczymy, mogą mieć wpływ pośredni tylko przez Boga, o ile z Nim już są na wieki — nie staną nigdy więcej z nami w szeregu i martwa ich ręka nie podniesie broni. Ale wola wszystkich wiernych Zmarłych jest z nami. Chcą całą potęgą swego walego ducha, byśmy walkę toczyli dalej, by była wygrana.

I dlatego dwie rzeczy znaczyć powinny dla nas Zaduszki: modlitwę za zmarłych

o wieczny w Bogu odpoczynek — i nową wolę służby sprawie, która jest ich sprawą.

Wyjdźmy z ementarza w ten dzień smutni żałobą po tych, którzy mają prawo do naszej miłości; wyjdźmy starożytnym obrzędem umocnieni w polskiej jedności i z sercem pełnym modlitwy za tych, co odeszli. Ale wyjdźmy także straszni i nieugięci w postanowieniu, że Polski, dla której Oni padli, nie damy, że Ich wolę zwycięstwa przeprowadzimy — bez względu na to, co się stanie i kto nam stanie na drodze — twardo i bez kompromisów aż do zwycięstwa.

I. M. Bocheński, O. P.

TYM, KTÓRZY POLEGLI NA WŁOSKIEJ ZIEMI

Święto umarłych. Dzień, w którym nasze myśli płyną do tych, którzy od nas odeszli.

W 1939 roku byłam po raz ostatni na lwowskim ementarzu w dzień Wszystkich Świętych. Bolszewicy zabronili zapalania świec, ale kwiatów było jak zwykle bardzo dużo. Przed koszarami na ul. św. Piotra i Pawła stał żołnierz bolszewicki i zabraniał przechodzenia obok koszar, trzeba było przejść na drugą stronę ulicy.

Nie wiadomo, co będzie jutro, dzisiaj jak zwykle co roku trzeba spędzić ten dzień z naszymi Zmarłymi. Byliśmy bardzo przybici i przygnębieni. Miało się chwilami takie uczucie, że wszystko już stracone i znikąd nie ma ratunku, że zakopano nas żywcem do grobu i zatrzasnięto wieko trumny, aby żaden krzyk

nie wydobył się i nie wzruszył sumieniami woleńców narodów.

Ludzie w skupieniu modlili się na mogiłach, prosząc Boga i Zmarłych o pomoc i zmiłowanie. W pewnej chwili, gdy spojrziałam na świerki okalające drogą mi mogiłę, ujrzałam na wysokości jakichś 2 metrów przybity biały pasek papieru. Dużymi kaligraficznymi literami napis: „Polska nie zginęła”. Takie same kartki były na grobie Kopnickiej, Szajnochy, Piotra Chmielewskiego, Tadeusza Rutowskiego, Benedykta Dybowskiego, Bronisława Szwarcego (członka Rządu Narodowego 1863 r.), Wizunasa Szydłowskiego, Bolesława Wysłoucha, Beży, Sobińskiego, Galla, na krzyżu ku czci pomordowanych w Krozach i wielu grobach zasłużonych dla Kraju i miasta. Nie zastanawiałam się

skąd się wzięła kartka, ale ta mała biała karteczka *) przyczyniła się, że nie tylko ja, ale wielu ludzi, może poraz pierwszy od pamiętnych dni wrześniowych, doznało ukojenia: Polska nie zginęła.

*) Kartki te napisali wnukowie Bronisława Szwarcego. Trzej mali chłopcy, urodzeni w Ameryce, przybyli w r. 1937 do Polski, ojczyzny swego wielkiego Dziada. Nie umieli ani jednego słowa po polsku, czuli się jednak Polakami i szybko opanowali język polski. Najstarszy Bronisław był w r. 1939 uczniem 1 kl. gimn. Korpusu Kadetów im. Józefa Piłsudskiego. Mały Broniek, gdy Lwów został zajęty przez wojska bolszewickie, inaczej nie wychodził na ulicę tylko w mundurze kadeckim, przepasany skórzanym pasem.

Powiedziano, że to on: bo go nie poznałem. Utył, ale to była okropna otyłość; Wydeła go zła strawa i powietrza zgniłość; Policzki mu nabrzmiały, poźółkły i zbladły, W czole zmarszczki pół wieku, włosy wszystkie spadły. Witam: on mię nie poznał, nie chciał mówić do mnie; Mówię, kto jestem; patrzy na mnie bezprzytomnie. Gdym dawnej znajomości szczegóły powiadał, Wtenczas on oczy we mnie utopił i badał. Ach; wszystko, co przecierpieł w swych męczarniach [dziennych,

I wszystko, co przemyślił w swych nocach bezsennych; Wszystko poznałem w jednej chwili z jego oka! Bo na tem oku była straszliwa powłoka Żrenice miał podobne do kawałków szklanych, Które zostają w oknach więzień kratowanych, Której barwa jest szara jak tkanka pajęczna, A które, patrząc z boku, świecą się, jak tęcza; I widać w nich rdzę krwawą, iskry, ciemne plamy, Ale ich okiem nawskroś przebieć nie zdołamy; Straciły przezroczyłość, lecz widać po wierzchu, że leżały w wilgoci, w pustkach, w ziemi, w zmierzchu. — W miesiąc poszedłem znowu; myślałem, że zdoła Rozpatrzeć się na świecie i pamięć przywoła. Lecz tyle tysięcy dni był pod śledztwa próbą, Tyle tysięcy nocy rozmawiał sam z sobą, Tyle lat go badały mękami tyrany, Tyle lat otaczały słuch mające ściany, A całą jego było obroną — milczenie, A całym jego były towarzystwem — cienie;

Że już się nie udało wesołemu miastu Zgładzić w miesiąc naukę tych lat kilkunastu. Słońce zda mu się szpiegiem, dzień donosicielem, Domowi jego — strażą, gość nieprzyjacielem. Jeśli do jego domu przyjdzie kto nawiedzić, Na klamki trzask on myśli zaraz: idą śledzić; Odwraca się i głowę na rękę opiera; Zdaje się, że przytomność, moc umysłu zbiera, Ścina usta, by słowa same nie wypadły, Oczy spuszcza, by szpiegi z oczu co nie zgadły. Pytany, myśląc zawsze, że jest w swem więzieniu, Ucieka w głąb pokoju i tam pada w cieniu, Krzycząc zawsze dwa słowa: „nic nie wiem, nie powiem”. I te dwa słowa jego stały się przysłowiem. I długo przed nim płacze na kolanach żona I dziecko, nim on bojaźń i wstręt swój pokona.

Przeszła niewolę lubią opiewać więźniowie; Myślałem, że on ją nam najlepiej opowie, Wyda na jaw z pod ziemi i z pod straży zbirów Dzieje swe, dzieje wszystkich Polski bohaterów. Bo teraz Polska żyje, kwitnie w ziemi cieniach, Jej dzieje na Sybirze, w twierdzach i więzieniach. — I cóż on na pytanie moje odpowiedział? Ze o swoich cierpieniach sam już nic nie wiedział. Nie zapomniał! — Jego pamięć zapisana cała, Jak księga herkulańska pod ziemią spróchniała! Sam autor zmartwychwstały nie umie w niej czytać. Rzekł to: będę o to Pana Boga pytał, On to wszystko zapisał, wszystko mnie opowie...



Zygmunt Turkiewicz — „Na widmie”

OCZAMI ARTYSTY

Trudno bez wzruszenia, a nawet niepokojąco, brać do ręki publikację zatytułowaną „Montecassino”. — Wspomnienie o tym czynie żołnierza polskiego urosło bowiem w naszych sercach do wielkości tak potężnego obrazu, że trudno nam przypuścić, aby mógł on znaleźć pełne swe odzwierciedlenie w utworze sztuki. Upiorny urok krajobrazu i czysto ofiarne uczestnictwo bitwy spłoty się tu w obraz prawdziwego piekła na ziemi — jak to świetnie podkreślił autor przedmowy do albumu Turkiewicza. To też tym większy musi być błysk natchnienia, aby odtworzyć zarówno całą grozę i potęgę tego historycznego czynu zbiorowego Polaków, jak i uwypuklić bez sztucznego patosu sens spełnionego tam przez żołnierzy obowiązku, jak w tym wypadku — nie w obronie własnej, ale dla zadośćuczynienia podstawowej konieczności politycznej.

W tych warunkach na tym bardziej szczególną uwagę zasługuje próba stworzenia plastycznego obrazu zdarzeń, któ-



Z. Turkiewicz — „Działo ciężkie arty.”

re poprzedziły Montecassino i które rozegrały się tam, gdzie na miejscu ogrodu i klasztoru wyrastały już ruiny i cmentarze. Podjął ją młody, ale dojrzały artystycznie malarz polski — Zygmunt Turkiewicz w świeżo wydanym przez Oddział Kultury i Prasy zbiorze rysunków. Podjął ją też i poparł swym epickim piórem również młody, ale w pełni swych sił twórczych pisarz polski i poeta Jan Białatowicz.

Na album rysunków Zygmunta Turkiewicza, zatytułowany „Montecassino”, składa się cykl 82 reprodukcji, licząc z okładką i kartami tytułowymi, cykl otwarty portretem dowódcy 2 Polskiego Korpusu gen. Władysława Andersa. Autor rysunków nie poprzestał na tematach wziętych z samej akcji w Montecassino, lecz cofnął się do chwili przyjazdu oddziałów morzem z Egiptu do południowych Włoch, uwzględnił transporty zmotoryzowanych kolumn, pracę warsztatową, roboty saperów, służbę pancerniaków, a nawet oglądany po drodze pejzaż, a dopiero potem przeszedł do tematów czysto frontowych, jak życie w schronach, obsługa plot, łączność, artyleria, żołnierza w akcji, walkę z minami, zastany obraz opactwa w ruinach, rannych i poległych. Mimo tej rozległej gamy tematów, które przewinęły się przed oczami idącego im naprzeciw artysty — od Port-Saidu do Piedimonte — rzecz trzeba jednak, że zdołał zaledwie musnąć właściwy temat, który zdaje się jeszcze wymykać plastycznemu ujęciu.

Próżno bez dośrodkowego pióra silić się na oddanie w słowach tego, co składa się na ten nadludzki marsz naprzód przez skaliste stoki i porany, krzaczasty grunt, przez ciemność nocy i zastony gryzący dym, rozświetlane jedynie błyskami pocisków lub rac, przez jeszcze wczoraj spokojne doliny zasiane makami, a dziś pełne piekielnego huków, w rzadkich chwilach ciszy przerywanego klaskaniem słowików, wśród rosnącego zaduchu rozkładających się ciał i mł-

go zapachu ledwie zaskrzepłej krwi. Tego wysiłku wdzierania się w wyż w pełnym obciążeniu sprzętem, amunicją, żywnością, rannym kolegą; tego przywierania do ziemi w kurezowym uścisku, tych zrywów wśród śmiercionośnych seryj i eksplozujących pocisków.

Jakkolwiek długo byśmy ciągnęli to wylczenie, nie zdołamy wyczerpać tu ani bogactwa akcji zbrojnej, ani jej treści wewnętrznej, zawartości uczuciowej i znaczenia ludzkiego, który wyrażony został w słowach dowódcy 2 Korpusu, że walcząc pod Montecassino, żołnierz polski bił się o Polskę. Nie mniej, przystępując do oglądania rysunków o Montecassino, z góry zdać sobie należy sprawę, że nie te wartości ściśle ideowe, czy też poetyckie w najgłębszym tego słowa znaczeniu mogły znaleźć wyraz w szkicach plastycznych.

Przekładając karty omawianej publikacji, uderza przede wszystkim widza czytelnika duża staranność, smak i umiar zarówno w doborze środków technicznych: czcionki, papieru, farby, układu graficznego, dokonanego również przez Turkiewicza, aż do oprawy włącznie. Staranność ta przynosi zaszczyt włoskim zakładom graficznym „Novissima”, którym zlecono druk albumu. Dopiero potem, zastanawiając się bliżej nad doбором tematów i ich ujęciem rysunkowym, budzą się głębsze refleksje dotyczące wartości artystycznych. Rodzi się więc przede wszystkim refleksja, że przecież wszelkiego rodzaju obserwatorzy wojny nowoczesnej, jak dziennikarze, fotoreporterzy, czy filmowcy od dawna stwierdzają jej, powiedzmy krótko, nie-fotogeniczność, jej brak urody malarzkiej. A skrajni sceptycy mówią wręcz, że podczas akcji niczego nie widać, a przynajmniej niczego nie powinno być widać. Doskonałe krycie, kamuflaż, maskowanie odbierają resztki uroku plastycznych wojnie nowoczesnej. Nie zatem dziwnego, że w tych warunkach zadanie rysownika, lub fotoreportera sprowadza się wówczas do chwytania momentów z przed lub po akcji, z momentów możliwie bezpośrednio z nią związanych, lecz rozgrywających się przeważnie po za jej terenem. Przejście na podstawie wyjściową do natury odbywa się już bądź w ciemności, bądź wśród zadymienia, przy największym kryciu i maskowaniu się. Gdzież tu więc miejsce na jakieś matejkowskie panoramy batalistyczne, ze zgiełkiem bitewnym, splotami skurczonych ciał, krwawymi scenami rzezi, gdzież miejsce na sceny wojny okropnej i okrutnej, ale pełnej wyrazistej grozy, która daje pole do działania dla wyobraźni artysty, wrażliwego na ekspresję ruchową i kolorystyczną, gdzież tu miejsce na barwne i pełne rozmachu szarże kawaleryjskie...?

To też nie dziwne, że zamiast walki wręcz, w rysunkach Turkiewicza, jako nowoczesnego batalisty — chciałoby się powiedzieć „zmechanizowanego” — znajdujemy raczej wyobrażenie pracy wojskowej, jakże często złożonej z czynności czysto technicznych i przygotowawczych, tak oderwanych od ich istotnego sensu, jak dziś oddalona jest praca obsługi dział strzelającego z po za góry od bezpośrednich skutków wybuchającego pocisku, który miazdzy wroga. Po-

ryw bohaterstwa osobistego luzuje więc naogół powaga pracy, na miejsce szerokiego gestu wojowniczego wchodzi zestrojony chwyt, spokojny, precyzyjny, skupiony. To główne i naczelné bodaj wrażenie, jakie wywołują z punktu widzenia swej treści tematycznej prace rysunkowe Turkiewicza.

Nie na tym zresztą polega ich istotna wartość i nie w tym się wyczerpuje ich charakterystyka artystyczna. Rysownicy w większości anglosaskich i nie tylko anglosaskich pism ilustrowanych, zresztą w produkowaniu scen batalistycznych na użytek cywilów, jakże często uciekają się do niezgodnych z rzeczywistością chwytów, polegających na nagromadzeniu efektów, na swego rodzaju, montażu, w którym na małym skrawku papieru potrafią skupić nieprawdopodobną ilość najprzeróżniejszego typu rodzajów broni u wojsk atakujących a nadto jeszcze całe linie obronne pozycji nieprzyjacielskich, przedstawiając całą walkę, jak gdyby przeżyła się na dłoni. Wartość artystyczna tych rysunków jednak równa się przeważnie zeru. Film również — mówimy tu o dobrym filmie — nie może przy oddawaniu walki obywać się bez montażu, a nawet bez korzystania z perspektywy z lotu ptaka, na którą pozwalają zdjęcia lotnicze, aby osiągnąć efekty artystyczne. Najczęściej jednak bezpośrednio praca i t.zw. faktura artystyczna ustępują na plan ostatni wobec momentów bądź dokumentarnych, bądź też czysto propagandowych.

Zupełnie inaczej jest u Turkiewicza, co zresztą jest znamienym rysem całej niemal dotychczasowej pracy artystycznej polskich artystów plastyków, żołnierzy 2 Polskiego Korpusu lub, mówiąc ogólnie, całej A.P.W. Nie goniąc za efektem literackim, za trickiem iluzjonistycznym, wszyscy szukają problemów czysto plastycznych, kolorystycznych czy graficznych, pozostawiając filmowi lub fotografii nawet tak ponętne zagadnienia, jak uchwycenie błyskawicznych momentów ruchowych, czy też akcentowanie fabuły wojskowej, gonitwę za dokumentarnością. Przy pomocy rozporządzonych lub stosownie dobranej środków technicznych, tworzą w swej sztuce nową, własną wyjątkowość otaczającego ich środowiska.

Tak też i Turkiewicz w tych pozornie jednolitych rysunkach posługuje się różnorodną techniką. Z punktu widzenia rysunkowego wliczyć by można co najmniej trzy jej rodzaje: rysunki piórkiem, w rodzaju jednobarwnej akwareli, rysunki piórkiem i typ mieszany. Przeważają plansze utrzymane w silnych kontrastach światłocienowych. Jeśli chodzi o charakter kreski, to jest ona naogół skromna, powściągliwa, niekiedy widać się może nawet toporna, często niemal techniczna czy geometryczna. Nie zatem dziwne, że po za oddaniem w wrażliwość i geście momentem skupienia w pracy, pełnym statycznej powagi i spokoju, odnosić można wrażenie pewnej sztywności, czy nawet programowej nieporadności w traktowaniu przedmiotu.

Istotniejsze i może nawet dostępniejsze dla szerszego ogółu walory tych plansz występują wyraźniej dopiero w momentach kompozycyjnych, przeważ-

nie płaszczyznami, tym dobitniejszych, że artysta operuje naogół grą sylwetek: lufa, łuk muru, stok góry, masa ciała ludzkiego, albo przedmiotu — ciemna na jasnym tle, lub odwrotnie. Kto więc w tych rysunkach szuka przede wszystkim efektów linearnych, znajdzie je w takich kompozycjach, jak rysunek Nr. 85 „Łączność II”, o tak żywym i trafnym, mięsistym konturze. Walory kompozycyjne natomiast są niemal równomiernie rozmieszczone w całym cyklu.

Jakkolwiek może być osobista reakcja na indywidualne ujęcie artystyczne tematów w rysunkach Turkiewicza, jedno jest pewne, a mianowicie, że wszędzie przebija w nich prawda artystyczna, wyrzekająca się łatwego, ale nie istotnego efektu dla rzetelnej sztuki. I to, pomimo najbardziej niesprzyjających ku temu okoliczności technicznych, w jakich rysunki te powstawały — jak brak światła, ograniczony wybór tematu, niezwykłe zupełnie warunki jego dorywczego ujęcia. Rzetelność posunięta aż do unikania fikcji, trzymania się faktów u podstaw swej wizji artystycznej. Trudno nie uczestnikowi tych walk wyrokować o stopniu autentyczności tematycznej tych rysunków, ani o wierności atmosfery, którą techną. Wszystko wydaje się jednak przemawiać za tym, że rzetelność artystyczna ich twórcy nie dopuściła się świadomych zniekształceń. Więc za tym idzie pewność, że rysunki



Z. Turkiewicz — „Łączność II”

te są autentycznym wyrazem tego, jak artysta widział i potrafił najlepiej ująć Montecassino, jako tę epopeję 18-tu dni walk majowych w 1944 r. o kluczową pozycję w kampanii włoskiej — będąc jej naczelnym świadkiem we wstępnych fazach i bezpośrednich refleksjach.

Dobry przykład wstępu Białatowicza na język angielski zawdzięcza wydawnictwo W. Skorupskiemu. Przyczyni się on niewątpliwie do uprzyśtępnienia i rozpowszechnienia albumu wśród gojusz-ników, pozwalając im tą drogą głębiej



Zygmunt Turkiewicz — „Polski chwyt saperów”



PIĘKNA DZIAŁALNOŚĆ „WAR RELIEF SERVICES”

Ochotniczki zwiedzające Rzym — partiami po kilkadziesiąt, albo w mniejszych grupach i indywidualnie — są jeżdżące na ulicę Boncompagni 18. Jest to stary rzymski pałacyk, z którego powiewają dziś sztandary: polski, amerykański, a między nimi sztandar o barwach papieskich. Szeroka brama jest zawsze gościnnie otwarta dla tych, które noszą „mundury khaki” i berety z orzełkiem, dla ich gości, a nawet dla ich... maszyn. Wewnątrz czeka na przyjezdnych dom, polski dom, przysiołkowa polska gościnność a nawet autentyczny kominek, na którym trzaska wesoło ogień w jesienne, deszczowe wieczory.

Mowa tu o Domu Wypoczynkowym dla ochotniczek i sióstr P.C.K., ufundowanym i prowadzonym przez WAR RELIEF SERVICES — NATIONAL CATHOLIC WELFARE CONFERENCE (Służba Pomocy Katolickiej Polakom). Warto się zapoznać z tą organizacją, która już tyle dobrego zrobiła dla żoł-

niarzy i uchodźców polskich. Została ona zawiązana w Ameryce pod kierownictwem amerykańskiego episkopatu katolickiego i ma na celu niesienie pomocy w czasie wojny oraz w okresie powojennym krajom dotkniętym świątową katastrofą. Eksc. Biskup Polowy Józef Gawlina z ks. Prałatem Reginkiem udali się z początkiem r. 1943 do Ameryki, gdzie przedstawili obecną sytuację Polaków i ich potrzeby. Na skutek tego z organizacji tej wyłonili się sekcja polska.

niezary i uchodźców polskich. Została ona zawiązana w Ameryce pod kierownictwem amerykańskiego episkopatu katolickiego i ma na celu niesienie pomocy w czasie wojny oraz w okresie powojennym krajom dotkniętym świątową katastrofą. Eksc. Biskup Polowy Józef Gawlina z ks. Prałatem Reginkiem udali się z początkiem r. 1943 do Ameryki, gdzie przedstawili obecną sytuację Polaków i ich potrzeby. Na skutek tego z organizacji tej wyłonili się sekcja polska.

Ks. Alojzy Wycisło i asystent jego dr. Max Brzeziński, którzy przybyli na Srodkowy Wschód, by zorganizować i kierować akcją sekcji polskiej, zabrali się do dzieła z gorliwością i z entuzjazmem. Obaj Delegaci to Polacy, którzy nigdy Polski nie widzieli. Tym bardziej wzrusza ich miłość dla dalekiej i nieznanej Ojczyzny, dla rodaków, których los tak ciężko dotknął.

Ks. Wycisło jest już od dawna znany wśród Polonii. Założył szereg instytucji charytatywnych w Chicago i wszędzie wykazał swoje wybitne zdolności organizatorskie. Niejednokrotnie pojawiały się w piśmie relacje o społecznej akcji ks. Wycisła, prowadzonej systematycznie w polskich ośrodkach uchodźczych w Afryce, na Śr. Wschodzie, i w Meksyku. Działalność ks. Wycisła obejmuje także żołnierzy naszej Armii. Więc paczki-dary, więc płyty gramofonowe, radia, sprzęt świetlicowy. A dla ochotniczek — właśnie Domy Wypoczynkowe, z których jeden mieści się w Rzymie.

Dom ten jest już dobrze znany ochotniczkom. Od dnia powstania 8-go lipca b.r. gościł Dom na Boncompagni 450 ochotniczek i wydał ponadto 500 posiłków gościnnych. Dom dysponuje również piękną willą przy ul. B. Eustachio, przeznaczoną dla ochotniczek przyjeżdżających do Rzymu na dłuższy odpoczynek. Doskonała opieka zarządu Domu sprawia, że zarówno kilkudniowy pobyt, jak i kilkutygodniowy urlop zostawiają najmilsze wspomnienia. Inspektorka

W najbliższym czasie będzie uruchomiony jeszcze jeden Dom Wypoczynkowy w innej miejscowości Włoch. W Egipcie w Heliopolis powstał piękny Dom Wypoczynkowy dla ochotniczek 3. Korpusu. Można też już zdradzić tajemnicę, że organizacja sprowadza z Ameryki kantyny polowe najbardziej nowoczesnie urządzone — do pracy na froncie.

W okresie powojennym WAR RELIEF SERVICES przyjdzie natychmiast z pomocą ludności polskiej w Kraju. Do pracy tej Instytucja przyspasia już w Ameryce specjalnie szkolony zespół, który uda się do Polski. Idea i praca tej katolickiej i narodowej Instytucji jest łącznikiem przyjaźni i serdecznych uczuć między dwoma kontynentami.

I. F.

Wystawa obrazów naszych artystów-malarzy-żołnierzy

W dniu 25. XI, b. r. odbędzie się w Rzymie, w salach „Circolo Artistico”, Margutta 54, otwarcie Wystawy malarzkiej, zorganizowanej przez Oddział Kultury i Prasy 2 Korpusu. Udział biora: Józef Jarema, Zygmunt Turkiewicz, Edward Matuszczyk, Stanisław Westfalewicz, Henryk Siedlanowski, Marian Kosciółkowski i inni. Wśród eksponatów — rysunki s. p. Burdyły, który poległ w bitwie pod Cassino. — Wystawa potrwa do 10. grudnia b. r. Otwarta jest codziennie od godziny 10-12 i 15-17.



W cieniu walczących żołnierzy

Kiedy rzucimy okiem wstecz na dzieje naszej służby transportowej, nie długiej wprawdzie, lecz barwnej, urozmaiconej i wypełnionej pracą po brzegi — różnić możemy dwa okresy: 1) pracę na obszarze bazowym, na dalekich tyłach, zdaleka od teatru działań wojennych, i 2) pracę w bezpośrednim sąsiedztwie frontu, jeśli można się tak wyrazić — w cieniu walczących żołnierzy.

Pierwszy ten okres symbolizują najlepiej dla nas, kierowczyń, nazwy: Bet-Nabala i Tel-El-Kebir; drugi zawiera się w jednym słowie: — Ortona.

Bet-Nabala i Tel-El-Kebir — egzotyczne nazwy, minione wspomnienia, budzące w naszych sercach nieprzyjemne uczucia. Bet-Nabala i Tel-El-Kebir — to nazwy dwóch obozów na dalekich, dalekich tyłach. Pracowałyśmy tam całymi tygodniami od rana do wieczora, wśród obcych, różnojęzycznych ludzi, wśród hałaśliwej, dzikiej, brudnej, jakże nędznej gromady robotników arabskich i ich dozorców.

Bet-Nabala i Tel-El-Kebir — to wstawanie o czwartej rano, wtedy gdy niebo iskrzy się jeszcze wszystkimi gwiazdami swego wschodniego przepychu, ale nie dla nas, śpieszących się, aby zdążyć na oznaczoną porę do oddalonych o całe kilometry — obozów.

Bet-Nabala i Tel-El-Kebir — to żar, upał, rozpalone kabinki wozów i monotonna, nużąca swą jednostajnością praca: ładowanie wozów na jednym krańcu wielkiego obozu i rozładowywanie — na drugim. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Sześć, siedem, osiem razy w ciągu dnia.

Nie czułyśmy się dobrze podczas tej pracy. Trudno było naszej ochotniczej kompanii wytłumaczyć sobie, że monotonna, wahałkowa praca — stanowi ogniwo wielkiego łańcucha maszyny wojennej.

Właśnie wtedy, gdy nasz sen o „romantyzmie kierowczyń” zdawał się być pogrzebany (kobiety są, niestety, skłonne do przesady) — nastąpiła zasadnicza zmiana. Uczestniczyłyśmy bowiem w przetrucaniu naszej Armii na teren Włoch.

O 11-ej, 12-ej, czasem o 1-ej w nocy wyruszała olbrzymia kolumna naszych wozów (dochodząca nawet do 70-ciu maszyn), aby przewieźć tę czy inną jednostkę na stację kolejową.

Byłyśmy często świadkami ostatniej zbiórki żołnierzy, ostatnich instrukcji Dowódcy („Zeby mi była idealna cizna na stacji”, „Nie schodzić z wozu bez rozkazu”), ostatniej modlitwy na starym m.p. — i cenny, najcenniejszy ładunek zapelniał nasze wozy.

Zapaliwszy motory, wolno, ostrożnie ruszałyśmy na przód. Kolumna w rozwiniętym szyku posuwała się w kierunku stacji. Było coś dziwnie groźnego i pięknego zarazem w tych milczących szeregach żołnierzy jadących na front,



W dniu 11 listopada, w kościele św. Andrzeja w Rzymie, odbył nabożeństwo J. E. ks. Arcyb. Cortesi, nuncjusz przy Rządzie Polskim. Na nabożeństwie obecni byli p. Ambasador Papée, Z-ca D-cy 2 Korpusu gen. Bohusz-Szysko oraz przedstawiciele placówek polskich w Rzymie.

Po nabożeństwie oficerowie, żołnierze i ochotniczki garnizonu w Rzymie udali się przed pomnik Marsz. Józefa Piłsudskiego celem uczczenia Wskrzesiciela Polski.

Na zdjęciu generał Bohusz-Szysko i ambasador Papée wśród ochotniczek.

Byłyśmy czujne i skupione przy kierowcy i nie po żołniersku, a po prostu — po babsku wzruszone.

Czerwone słońce wstawało z za pustynnych wydm, gdy gasiłyśmy motor w naszym obozie.

Ortona. „Czekamy na waszą kompanię tutaj z największą niecierpliwością. Jesteście tutaj ogromnie potrzebne” — przywitał naszą czołówkę kwatermistrzowską ppłk. K., D-ca Śl. Zaop. i Transp. 2 Korpusu. Zaokoczone tym przywitaniem, podniosłyśmy kurem upudrowane głowy. Więc 2 Korpus na nas liczy!

Drugi Korpus nie zawiedzie się na nas.

Kiedy w tydzień później nasi koledzy z bratniej męskiej transportówki zaczęli nam opowiadać, jak wielką ulgą w pracy jest dla nich nasz przyjazd, jak bardzo odczuli naszą pomoc, ile godzin spokojnego snu w nocy mają nam do zawdzięczenia — było to nie tylko wielką radością dla nas, ale i bodźcem do pracy. A praca rozpoczęła się na prawdę nie byle jaką.

Zostałyśmy nagłe wmięszane w krąg spraw najważniejszych najpilniejszych, bezpośrednio związanych z żołnierzem, z jego walką i losem.

Rytm naszej pracy odpowiadał rytmowi ciągle na przód idącego frontu. Im szybsze było tempo ofensywy, im głośniej grała artyleria — tym szybciej obracały się koła naszych wozów, tym więcej ton amunicji, benzyny, smarów, zaopatrzenia przewoziłyśmy na naszych wozach; tym dłużej pracowały nasze motory.

Ładowałyśmy barki ciemną nocą, rozładowałyśmy pociągi w pyłę i skwarze dnia. Zbyt wielka stawka wchodziła w grę.

Nie wiedziałyśmy, ile przewioziłyśmy zaopatrzenia, ile benzyny, ile amunicji, nie bawiłyśmy się w statystykę, w żmudne wyliczenia. Jedyną miarą naszej pracy była potrzeba Korpusu, jedyną wagą — powaga zadania.

Ostatnia, decydująca faza bitwy o Anconę — porwała nas wszystkie. W podnieceniu czekałyśmy na wzięcie miasta. Wolne od zajęć chwile spędzałyśmy przy głośniku, czekając na upragnioną wiadomość. Gdy wreszcie przyszła sprawdzona i zupełnie pewna wieść, że Ancona jest nasza, kompania huczała od okrzyków radości i dumy z naszych żołnierzy.

Chociaż nasz udział w tym zwycięstwie jest bardzo mały, (bo i mała w porównaniu z Korpusem jest nasza kompania), wolno nam przyznać się do tego, że Kompania Transportowa P.S.K. dołożyła małą cegiełkę swej pracy do wielkiego, zwycięskiego wysiłku Żołnierza.

Szworzeń

KRONIKA

Ochotniczki P.S.K. z Francji

Donoszą nam, że w najbliższym czasie z Francji uda się 18 kandydatek do Służby Sanitarnej w szeregach P.S.K. do W. Brytanii. Wszystkie kandydatki rekrutują się z kolonii polskiej w Paryżu i zgłosiły się na skutek apelu wystosowanego do Polonii przez władze polskie. Przejdą one kurs sanitarny: 3 tygodnie teorii, 3 tygodnie praktyki w szpitalach paryskich. Całość nauki będzie przeprowadzona w Szkole Sanitarnej w Paryżu, która została w tym celu specjalnie utworzona.

(d. c. „Kroniki” na str. 28)



„Wesele Śląskie“ Ligonia. J. Domańska i Z. Kwiatkowska

ZA KULISAMI

Jest sztuka Norwida pod takim właśnie tytułem. Rzecz dzieje się za kulisami sal Redutowych w Warszawie. Tych sal, w których Osterwa i Schiller zapoczątkowali nowy okres dziejów teatru polskiego; w tych salach mieścił się Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej, t.zw. PIST. Ma to tyle wspólnego z niniejszą impresją, że nasze wojskowe teatry również eksperymentują, szukają możliwości rozwoju w tych niezwykłych warunkach, w bezpośrednim zetknięciu się z wojną, z „trudną” widownią i bardzo niedobrymi możliwościami twórczej pracy. Dla wielu młodych artystów, są te teatry jednocześnie szkołą dramatyczną, w której w przyspieszonym tempie, zdobywa się wiedzę aktorską i doświadczenie.

Do rzeczy. Jak się państwu podoba następujący obrazek? „...Po zawadżeniu zajętdła przed piękny gmach teatru luksusowy autobus. Wyskakuje z niego kilka roześmianych pań w mundurach P.S.K. Wskakują wprost w ramiona młodych i starych poruczników, starych i młodych majorów, którzy na rękach wnoszą te panie wprost do wytwornie

urządzonych garderób teatralnych. Poł godziny cudownego mizdrzenia się przed weneckimi lustrami... Fryzjer! Garderobiane! Gdzie dywan pod nogi? Moje pantofelki nie błyszczą!... Potem, gdy panie - artystki są już pięknie ubrane i wymalowane, rozlegają się urzekające dźwięki orkiestry i w radosnym podnieceniu artystki wbiegają na scenę, ażeby najpiękniejszymi uśmiechami dziękować za burzę oklasków na przywitaniu, drugą burzę na pożegnanie i parę burz w srodo wykonania tańca, piosenki lub roli w sztuce dramatycznej. Po przedstawieniu, kolejka po autografy, przyjmowanie kwiatów i listów... Następnie podchorążowie tworzą szpaler i artystki idą na wspaniałą ucztę do kasyna. W bajecznym nastroju upływają godziny, okraszone piosenkami i recytacjami, które każda chętnie śpiewa lub mówi, ażeby usławić... ażeby zaszczyścić... W bardzo zwartych szeregach gospodarze odprowadzają panie do autobusu. Jeszcze jedno pożegnanie, jeszcze niejedno westchnienie i lux-terpeda rusza, miazdząc kwiaty rzucane pod koła. Panie-artystki wracają do wykwinnych apar-

tamentów, ażeby słodko spać do następnego południa”...

W ten, mniej więcej, sposób, wyobrażają sobie życie artystek-ochotniczek P.S.K. wszyscy ci, dla których sztuka — to kolorowy film made in U.S.A., a prawda — to moskiewskie gadanie.

Zduśmy bezlitośnie słowiki i przyrzyczymy się temu życiu bez oświetlenia księżycowego:

— Próba o godz. 9.30. Wyjazd zespołu do... o godz. 14.30. Początek przedstawienia o godz. 19-ej. Kolacja, po przedstawieniu, w oddziale — głosi papierek wiszący na ścianie. ... „Słuchaj! Jest już 9.25, chodźmy prędzej, bo ten wściekły reżyser zrobi taką awanturę, że odechce się wszystkiego”... „Ależ, wczoraj wróciliśmy po 12-ej w nocy... wody nie było, chciało mi się pić... szukałam w ciemnościach, gotowałam herbatę... jak ja mogę zdążyć?”

Taki dialog toczy się między dwiema ochotniczkami P.S.K., należącymi do zespołu jednego z teatrów wojskowych. Rozpoczyna się próba. Nie sposób określić w paru słowach, czym jest próba w zespołach zawodowych. Po krótko wspomnę, że parę godzin próby kosztuje wiele zdrowia i nerwów. Gdy kat w osobie reżysera każe bez końca powtarzać sceny, nie uznaje zmęczenia i jest ze wszystkich niezadowolony, życie wydaje się beznadziejnie czarne.

— Odjazd! — Następuje X-godzinne, zależne od przestrzni, trzęsienie się autobusem, który idzie na t.zw. słowo honoru. Jazda odbywa się w każdych warunkach: w upał, podczas deszczu, w dzień i w nocy bez światła. Dojeżdża się do teatru. Następują prośby o zimną wodę, lub gorącą herbatę, ażeby obmyć kurz, rozgrzać się...

„... Właśnie nie ma. Zabrakło. Jeszcze nie przywieźli”. Natomiast „teatr” przedstawia się bardzo interesująco. Albo (tak jak to było) w nieopalonej budzie w Tockoje, gdzie „aniołkom” w „Pastorałkach” marzyły gołe ręce i ramiona, a paniasta grał w wełnianych rękawiczkach, albo na pustyni, w Iraku, Palestynie, Egipcie, gdzie hamsin właczał do gardła śpiewaczki kłęby piasku, albo, ostatnio, gdy deszcz przeciekający przez rozbity dach, moczył suknie i pantofle i była na to jedyna rada udzielona przez kierownictwo: „grać, nałożyć na siebie, wyschnie”.

Jest bardzo przyjemnie zagrać raz w amatorskim przedstawieniu. Potem, mając za sobą treść i podenerwowanie, można miesiącami wspominać miłe zdarzenie. W teatrach zawodowych każde przedstawienie jest ponownym publicznym egzaminem. Egzaminem z uzdolnienia, werwy, warunków zewnętrznych i t.d. Proszę spróbować składać egzamin codziennie. (Trochę statystyki. Teatr dramatyczny A.P.W. za 18 miesięcy swego istnienia dał 200 przedstawień. Uwzględniając nieużyteczny czas przeznaczony na przejazdy z kraju do kraju i na zmiany m.p., na urlopy, wypełnia po cztery przedstawienia tygodniowo). Względnie łatwo można zastąpić kandydatkę, pielęgniarkę, kancelistkę, ale w przedstawieniu zastępstwa są czymś wyjątkowo rzadkim. Nie ma kim i nie ma czasu. Otóż jedna z aktorek-ochotniczek,

miała podczas przedstawień ataki malarii. Doprowadzono ją do kulis i czekano, aż odegra swoją scenę, ażeby ją czym prędzej położyć na teatralnej (to znaczy bardzo twardej) sofie. Nawiasem mówiąc, ta sama artystka, mdlejąc po odegranej scenie, zdążyła wyszeptać kolegom dopiero co usłyszaną wiadomość: „Pantelaria zdobyta...”.

Podobnych przykładów możnaby cytować większą ilość. Nie chodzi jednak o to, że ktoś zdobył się na wyjątkowy wysiłek; wysiłek aktorki, nużący fizycznie i nerwowo (w szóstym roku wojny!) jest w teatrze wysiłkiem codziennym. 30 osobowy zespół ma zawsze pewien procent chorych. Ale stać nie można! (Jeszcze trochę statystyki. Ten sam teatr dramatyczny na 200 przedstawień miał tylko 3 zerwane z powodu chorób w zespole). Zachorował fryzjer — same panie zabierają się do trudnej sztuki zakładania peruk; zachorowała krawcowa — same muszą wynaleźć, rozwiesić, upiąć, a potem złożyć i ułożyć kostiumy. A nie jest to bagatela, gdyż podczas przedstawienia, należy myśleć wyjątkowo o granii!

Publiczność na każdym przedstawieniu reaguje inaczej. Bywa rozbawiona, lub sztywna, milczy lub gwiżdże... „Dziś należy grać mocniej! Krzyć! Bo złe warunki akustyczne, wiatr, bo już krzyczeli z widowni — głośniej!” Należy opanować nerwy i nie przejmować się, gdy jakiś wesoło usposobiony widz jakimś powiedzonkiem zareaguje na przedstawienie, lub krzyknie, że już to widział. Taki pan niedawno powrócił do oddziału. Widział to samo w szpitalu i nie może zrozumieć, że całość oddziału też chce zobaczyć przedstawienie. Są oddziały, które trudno było dopaść, dogonić. Stamtąd słyszy się narzekania, że teatry nie nie robią, że nigdy ich nie widać i t.p. Sztuka idzie przeciętnie 30-50 razy, a 2-3 miesiące wścieklej pracy wymaga przygotowanie nowej premiery. Krzykacze z widowni nie chcą o tym wiedzieć. Po skończonym przedstawieniu, gdy reakcja ogarnia wyczerpany organizm, należy szybko przebrać się i rozcharakteryzować. Maszyniści muszą zabrać, załadować paki z kostiumami, zdemontować oświetlenie.

Są bardzo miłe kolacje w oddziałach. Ale, czy wobec gościnnych gospodarzy można przyznać się do zmęczenia, narzekać na znużenie? Nie, jest to dalszy ciąg przedstawienia, w dalszym ciągu artystka jest na cenzurowanym i dopiero w „luksusowym” klekocie można odpocząć.

Autobus się trzęsie... w zmęczonych głowach chaos... „... Jutro próba... przegląd mundurów... dyżur... zacerować pończochę... jak brzmi ten tekst roli? Nie chce wejść do głowy... Zimno... boli gardło... nie mam listu... dziś przyjemnie się grało... cieszyli się na przedstawieniu i dobrze reagowali... nie gwiżdżali... dziś dobrze poszło... teatr to wielka rzecz... ten reżyser, jutro... ale ja mu powiem!... Jeszcze daleko do domu... pić się chce...”.

A w domu? Tak, jak to już zaznaczyliśmy. Wodę trzeba przynieść. Nie ma światła. Upał, lub zimno. Jutro próba. Trzeba popracować nad rolą.



„Wesele Śląskie“ — O. Stankiewicz, J. Jasińska, (panna młoda) J. Jakubówna

Kiedyś, w dobrych cywilnych warunkach, artystka była wzorem mody. Dziś, artystka-ochotniczka P.S.K., jest tak samo na świeczniku, ale jakie są jej możliwości? Proszę mi wierzyć, że przesadna (z punktu widzenia rygoru wojskowego) dbałość o swój wygląd zewnętrzny kosztuje dużo zabiegów i trudu, a ma to samo źródło przedwojenne — artystka jest kobietą oglądaną wyjątkowo krytycznie. Proszę dołączyć do tego wszystkiego życie wojskowe ochotni-

czki-artystki, wszystkim znane meldunki, fasunki, trochę muzyki, jej życie rodzinne, ma męża, ojca, rodzinę w Kraju; jej życie codzienne, pranie, szycie, choroby i troski... z tego ułoży się sylwetka zmęczonej dziewczyny, o nerwach starganych podwójnie (bo i z racji swego zawodu), która nieraz śmieje się na scenie, wtedy gdy chce płakać, śpiewa i tańczy, wtedy gdy wolałaby uciec od ludzi i trochę odpocząć.

I. I.

Listy do Redakcji

Innym do naśladowania

Szanowna Redakcjo!

Checmy się podzielić z czymś, co bardzo nas cieszy i co może zechcą naśladować inne oddziały P.S.K.:

Przed rokiem większość dziewcząt z naszego plutonu opuściło z żalem szkołę junacek. Te starsze, które zdały maturę, marzyły o uniwersytecie, snuły plany o pracy zawodowej już w wolnej Polsce. Los chciał inaczej. Zostałyśmy przydzielone na kurs łączności.

— Trudno — wojna — powiedziałyśmy sobie, znajdując pocieszenie w tym,

że się jednak czegoś uczyć będziemy, że sztuka rozwijania niewidocznej pajęczyny, łączącej krańce świata też jest coś warta. A zwłaszcza to, że est to praca dla wojska.

To też z gorącym entuzjazmem przyjęłyśmy wiadomość o tym, że pojedziemy razem z wojskiem, by łączyć oddziały za pomocą płynącej na falach eteru melodii każdej wystukanej przez nas litery. Pokochałyśmy swoje radiostacje i zrozumiałyśmy niezmierną doniosłość pełnionego zadania.

Jakaż rozpacz w sereu, gdy słyszał-



„Wesele Śląskie“ — druhy



„Wesele Śląskie“: czepiny. Od lewej — J. Domańska, Z. Kwiatkowska, J. Batscherowa, J. Jasińska, H. Wdowińska, W. Baczyńska

ność „raz” i nie można odebrać, czy nadać pilnego telegramu. Ileż przeżywa dziewczyna, pracując nad wyłowieniem z pośród tysięcy jednakowych prawie dźwięków tego, który do niej tylko jest skierowany. A ile to nerwów kosztuje wpadający nie raz na fale kolowrotek niemiecki. A jaka straszna jest noc, gdy siedzisz sama i lada stuk płynący z zewnątrz nasuwa ci myśl o dywersji, gdy przed szyfrantką skaczą liczby zamieniając się w dziwaczne istoty wyciągające ręce po tak bardzo ważne „tejoty”.

To nie narzekania. Ja tylko chcę, by wszyscy, którzy nie znają pracy dziewcząt noszących niebiesko-czarne paski, zrozumieli, że nie jest ona, ani tak bardzo prosta, ani łatwa, że wymaga, prócz fachowego przygotowania, pewności siebie, szybkiej orientacji, dużo spokoju i opanowania, że jest bardzo odpowiedzialna i bardzo silnych nerwów do niej potrzeba.

Wszystkie młode dziewczęta w łączności pracują z pełnym zrozumieniem. Wiedzą one jednak, że w przyszłości Ojczyzna czegoś więcej będzie od nich wymagała, że wróg wyniszczyl inteligencję narodu, że od nich zależy Młoda Polska.

Mamy dziwną opinię rozbawionych „pestek”. A nikt nie wie o tym, że te lekko podmalowane, w wyprasowanych pięknie mundurach najstarsze radiotelegrafistki spieszyły nie na dancing, tylko na wykład założonego dla nich „latającego uniwersytetu”. Gdzieś w prywatnym mieszkaniu pana inżyniera R., znany ekonomista rozszerzał horyzont myśli zasłuchanych dziewcząt. A potem dyskusja trwała do późnej nocy w sypialni radiotelegrafistek.

Wojna nie sprzyja nauce. „Latający uniwersytet” musiał więc przerwać tak

ładnie rozpoczętą pracę, ale rozżarzona iskra chęci zdobywania wiedzy nie zgasła, lecz rozpalona jasnym płomieniem wybuchła na terenie całego plutonu.

I teraz 50 % dziewcząt zapisało się na kurs dokształcający. Kurs zupełnie oficjalny. Dzieło Propagandy, które po kilku miesiącach pozwoli chętnym zdać małą, lub nawet dużą maturę.

Dziś wejść do pokoju ochotniczki z łączności, a wszędzie zobaczysz mnóstwo książek i zatopione w nich głowy. To nie, że miała w nocy dyzur, że słyszy jeszcze ciagle melodie przyjmowanych cyfr, lub widzi treść z trudem odszyfrowanych depech. Ona nie może być zmęczona, dziś jeszcze musi zgłębić okres „Piaśtów”, własności wodoru i tlenu.

Zapał ogarnął wszystkie. Młodsze uczą się z zadziwiającą pilnością, starsze służą chętną pomocą. Stworzyliśmy szkołę. Na lekcje przychodzą dwie, trzy uczennice z danej klasy i „pani profesorka” starsza, czująca się silniejsza w danym przedmiocie. Trudności mamy ogromne, i my wykładowczynie i nasze uczennice, bo chociaż 11 batalion łączności, jak dobry Tata stara się o książki, to jednak stale mamy ich zbyt mało.

Przecież pluton jest rozrzucony, a niemożliwe jest skupić jedną klasę w jednej sekcji. Podręczniki więc krążą od stacji do stacji witane radośnie, oddawane z głębokim żalem.

Czując jednak poparcie przełożonych, wierzymy, że nasza praca nad sobą, przy ciężkich obowiązkach wojskowego zawodu, nie pójdzie na marne i w wyniku wzbogaci społeczeństwo o kilkadziesiąt dziewcząt gotowych do studiów uniwersyteckich, lub twórczej, inteligentnej pracy dla Państwa.

Stanisława Rajkowska

KRONIKA

Na fundusz pomocy dla Warszawy

Z okazji imienin Inspektorki Służby Zdrowia Jadwigi Zylńskiej, złożyły: siostry i ochotniczki P.S.K. 162 Szpitala Wojennego — 15 funtów, 5 szylingów, siostry i ochotniczki P.S.K. 161 Szpitala — 22 funty 10 szylingów, Kompania Sanitarna P.S.K. 8 Szpitala Wojennego — 55 funtów.

Z okazji imienin Komendantki P.S.K. 161 Szpitala Wojennego, Jadwigi Makłowicz, złożyła Kompania P.S.K. 18 i pół funta.

Powyżej wymienione sumy przeznaczyły siostry i ochotniczki P.S.K. na pomoc ludności Warszawy.

2 Korpus dla Warszawy

Do kasy Polskiego Czerwonego Krzyża w Londynie wpłynęła w dniu 12 września kwota 87.500 funtów zebrana wśród oficerów, żołnierzy i ochotniczek P.S.K. 2 Korpusu na pomoc walczącym i ludności w Warszawie. Zarząd Główny P.C.K. składa publiczne podziękowanie i oświadcza, że dołoży wszelkich starań, aby udzielona pomoc doszła jak najszybciej do potrzebujących.

Komitet pomocy rannym żołnierzom przy 7. D.P.

Jako nowość, bardzo mile przyjęta przez pacjentów, wprowadzono składanie życzeń imienninowych przez delegacje ochotniczek P.S.K., które jednocześnie ofiarowują solenizantom kwiaty i drobne upominki. Niezależnie od bezpośredniej opieki nad rannymi i chorymi żołnierzami, zainteresowały się ochotniczki rodzinami, pisząc listy dla ciężko rannych, wysyłając paczki i zapomogi pieniężne rodzinom pozostałym w Rosji.

Przesyłanie pieniędzy i paczek załatwia się za pośrednictwem Poselstwa w Teheranie i Poselstwa Australijskiego w Moskwie. W kilku wypadkach Poselstwo Australijskie zawiadomiło o doręczeniu paczek i pieniędzy, co dodatnio wpłynęło na samopoczucie rannych i chorych.

„Wielka Tajemnica” dzieci w Kraju

W wychodzącym w Kraju tajnym piśmie dla dzieci, „Biedronka”, znajdujemy „Pytania-Wskazania” dla dzieci polskich, pouczające i nawołujące do udziału w pracy, w miarę własnych sił i możliwości, dla sprawy polskiej:

„Jeżeli cię dopuszczono do tajemnicy — lub sam mimo woli dowiedziałeś się o tym, co w twoim domu, lub u innych robi się tajnie przeciw Niemcom, dla wywalczenia Polsce wolności — wiedz, że stałeś się przez to członkiem Wielkiej Tajemnicy i masz umieć milczeć o tym, jak grób, bo każdym słowem, które piśniesz, szkodzisz Ojczyźnie swej. Nie staraj się sam niczego dowiedzieć o tajnej pracy starszych, bo lepiej, gdy dzieci teraz o tej pracy nie wiedzą, aby starsi na wypadek nieszczęścia mogli być spokojni, że dzieci nie nie powiedzą, bo nie nie wiedziały.

„Czy wyręczasz w pracy starszego brata, gdy musi wychodzić z domu dla swej tajnej pracy dla Polski?”

„Czy znasz dobrze granice Polski i umiesz je na pamięć i czy narysujesz kontury mapy Polski? Jeśli umiesz, pytaj o to inne dzieci i ucz je tego.

„Jakie ziemie musimy otrzymać od Niemców po zakończeniu wojny?”

„Czy w domu czytacie głośno książki rodzicom i rodzeństwu? Jeśli nie, to dlaczego? Koniecznie, zaraz, od dziś to róbcie, bo tego sprawa Polski wymaga”.

Ochotniczki z Meksyku

W osiedlu Santa Rosa (Meksyk) zgłosiło się 81 dziewcząt w wieku od 20 do 30 lat do Służby Pomocniczej Kobiąt, a pierwsza grupa w liczbie 22 osób udała się w dniu 25 czerwca do obozu P. S. K. w Kitchener — Kanada.

Władze meksykańskie, jak zawsze życzliwe dla spraw polskich, dołożyły wszelkich starań, by ułatwić wszelkie formalności przejazdowe i dostarczyły naszym dzielnym siostronom specjalnego wagonu kolejowego do ich wyłącznej dyspozycji. Władze amerykańskie i kanadyjskie udzieliły wszelkich ułatwień.

Grupę konwojowała do granicy kanadyjskiej p. Karolina Sławińska, Polka — Amerykanka, stale przebywająca w Santa Rosa, z ramienia Społecznej Organizacji w U. S. A. N. C. W. C., aż od granicy kanadyjskiej zajmował się kierownictwem Konsul R. P. p. Herse z Toronto, by następnie ochotniczki oddać w doświadczone ręce Kierowniczki Obozu w Kitchener, p. Marii Pinińskiej.

Na drodze przejazdu transportu zawiązały się komitety przyjęć. Bardzo miłym gestem wobec uczestniczek było zaproszenie ich przez Radę Polonii do Chicago; niestety zaproszenie to nie mogło być wykonane wobec ostatecznego terminu przekroczenia granicy w dniu 28 czerwca r. b.

Pisma amerykańskie „Excelsior”, „National”, „Prensa” i „Todo” zamieściły bardzo ciepłe artykuły i notatki, zaopatrzone w fotografie naszych Polek i życząc im całkowitego zrealizowania ich planów: powrotu w chwale spełnionego obowiązku do męczeńskiej Ojczyzny.

Niniejszy numer „Ochotniczki”

zawiera 28 str.